Świat Kobiecy

N-R 16 15 SIERPNIA 1931 R. ROK XI



CENA ZŁ. 2·25

TROSKA ŻONY I MATKI

Niezwykle ciężki stan ekonomiczny nietylko naszego kraju, ale także całej Europy, stwarza zupełnie nowe warunki bytu — nastawienia budżetu domowego w stosunku do ograniczonej zdolności nabywczej społeczeństwa.

Nakazy oszczędności u nas w Polsce, są zupełnie odmiennie ujmowane, aniżeli w innych państwach, np. w Anglji. Wiadomo, że ograniczanie wydatków nieprodukcyjnych wszystkich naraz obywateli już samo przez się odbija się ujemnie na obrotach handlowych, powodując dalsze pogłębienie ogólnej nędzy. Oszczędność przeto powinna być stosowana tylko tam, gdzie należy. W Anglji nawołują stan średni i posiadający zasoby do kupna, do obrotów handlowych i wymiany walorów majątkowych, u nas z jednej strony nakłada się kaganiec na konsumcję artykułów przywozowych bez względu, że ograniczenie importu odbija się rewanżem państw-dostawców w kierunku nabywania u nas zboża i inwentarza żywego, a z drugiej strony wzbudza się przez ideę samowystarczalności samozachwyt nieusprawiedliwiony, wzajemną adorację, umożliwioną przez mur chiński, stworzony tą samą oszczędnością pod postacią utrudnień wyjazdów i drożyzny wiz zagranicznych (represalji) i paszportów. W ten sposób jesteśmy pozbawieni śledzenia za postępem współczesnym i sposobów załatwiania spraw nawet elementarnie prostych przez państwa kulturalne Europy.

Należy przeto różniczkować, co jest oszczędnością i na czem nam oszczędzać wypada.

Czas, wysiłki fizyczne i duchowe, zmartwienia, zdrowie, oto walory, jakie giną bezpowrotnie i dlatego też, sądzę, że nie od rzeczy byłoby przytoczyć jako przykład postępowanie, które poniekąd decyduje o zrealizowaniu pośredniem także i innych tu przytoczonych postulatów.

„Łatwiej jest zapobiegać chorobom, aniżeli je leczyć." Stara to prawda, która jednak nic nie traci na aktualności, przeciwnie, warunki życia współczesnego różnią się zasadniczo od sposobu bytowania naszych dalekich przodków. Zrośnięci z naturą, bez kłopotów i wymagań cywilizacji i nauki, odżywiani w sposób naturalny produktami nieudelikaconemi, oczywiście lepiej znosili oni wszelką niedolę, fizycznie rozwinięci bezwątpienia czuli się szczęśliwszymi, aniżeli nasze generacje.

Zważmy choćby dla przykładu, że pożywienie dzisiejsze różni się znacznie pod względem składników, zwłaszcza mineralnych, od żywności naszych protoplastów. Miasta, skupienia ludu osiadłego w warunkach niehigjenicznych, są poniekąd pompą wyczerpującą wszelkie zasoby roli. Wydaliny, które dawniej powracały na pole, giną nieprodukcyjnie w rzekach i morzu. Wiadomo, że zboże, zbierane z jednego i tegosamego pola po niejakim czasie staje się miękkiem, nienadającem się do pomiału i dla sporządzania jadalnej mąki wymaga domieszki ziarna z pól mniej wyczerpanych. Twardość ziarna uzależnioną jest od szkieletu, składającego się z związków mineralnych, a przez tosamo i pożywienie ubożeje pod względem tych substancyj, niezbędnych dla utrzymania zdrowia i życia. Dodajmy do tego odrzucanie otręb, najpożywniejszego składnika, który idzie na korzyść utrzymania inwentarza żywego. Dodajmy do tego, że i samo mięso z biegiem czasu z tychsamych powodów musiało utracić na wartości odżywczej, a przekonamy się, że następstwem tych warunków musi być przewlekły okres degeneracji, którego nie odczuwamy jedynie dlatego, że na powstanie współczesnego człowieka trzeba było wielu setek lat i wielu pokoleń.

Organizm ludzki składa się z substancyj organicznych, azotowych, tłuszczy, niewielkiej ilości węglowodanów, a za to wielkiej ilości składników mineralnych, stanowiących o stałości jego podstawy w postaci kośćca oraz całego szeregu związków mineralnych, będących integralną częścią składową krwi, soków, komórek i tkanek. Te ostatnie części znajdują się w stanie ruchomym i w miarę nasilenia pracy fizycznej i umysłowej zostają zużywane i wydalane, czyli dla prawidłowego funkcjonowania narządów muszą być uzupełniane i doprowadzane z pożywieniem.

Najpoważniejsze stanowisko z pośród związków mineralnych zajmuje fosfor, ten do niedawna skromny, zapoznany metaloid. Fosfor znajduje się w ustroju w kościach, komórkach i tkankach. Niema żadnej najmniejszej części ciała, w którejby fosfor się nie znajdował, a jako składnik mózgu fosfor jest z jednej strony królem pierwiastków ustroju ludzkiego, gdyż za pomocą mózgu rządzi nad wszystkiemi czynnościami narządów, a z drugiej strony fosfor stanowi wskaźnik intelektu człowieka, gdyż: „Bez fosforu niema myśli". „Tem, czem dla dziecka jest mleko matczyne, tem dla dorosłego, zwłaszcza inteligenta jest fosfor." Fosfor przeto jest medjatorem pomiędzy realizmem życia i abstrakcją.

Nie jest obojętnem, w jakiej formie fosfor zostaje wprowadzony do organizmu. Niezbicie stwierdzono, że fosforany mineralne, a także przetwory, przyrządzone syntetycznie w kolbie chemika, mające zastępować produkty rozpadu lecytyny lub inne mniej lub więcej udolnie skombinowane połączenia nie odkładają się w ustroju czyli nie są zdolne uzupełniać straty codzienne fosforu oraz przyczyniać się do rozwoju organizmu. Jedynie fosforany organiczne przyswajają się, czego dowodem jest egzystencja całego świata wyżej uorganizowanego pośrednio lub bezpośrednio otrzymującego fosfor swój z pożywienia roślinnego. Tylko mięso trawożernych służy nam za pożywienie a zwierzęta te otrzymują fosfor również tylko z substancyj roślinnych.

Natura sama wskazała nam drogę dla właściwego odżywiania się fosforem, dobierając dla tego celu najbardziej obfitujące w fosfor nasiona, bulwy, kłącze i t. d., jako organy rozrodcze, jednocześnie posiadające magazyn fosforu dla rozwoju i utrzymania zarodków następnych pokoleń roślin.

Charakter związku, w jakim fosfor organiczny się znajduje w nasionach i t. d., został dopiero w początkach bieżącego stulecia oznaczony. Stwierdzono, że niezależnie od gatunku nasion i t. p. organów roślinnych, cały fosfor zawarty jest pod postacią zawsze jednej i tejsamej Phytiny. Udało się wydzielić ten pierwiastek fosforowy i doprowadzić do tegosamego stanu, w jakim się znajduje w naturze, a wieloletnie doświadczenia kliniczne i fizjologiczne dowiodły niezbicie, że cały fosfor Phityny zostaje przyswojony, a w ustroju przeistacza się na lecytynę, czyli składnik substancji mózgowej.

Niedostateczne odżywianie fosforem prowadzi do ogólnego osłabienia, a wszelkie choroby gorączkowe wskutek wzmożonego spalania wewnątrzkomórkowego, prowadzą do nadmiernego wydzielania go. Natomiast dostateczne zaopatrzenie powoduje odporność przeciwko wszelkim szkodliwym wpływom zewnętrznym, stąd też troską każdej żony i matki powinno być staranie o zabezpieczenie się przed chorobami i wynikającemi stąd konsekwencjami zaburzeń porządku domowego i budżetu.

Wyczerpanie nadmierną pracą, często prowadzące do neurastenji, jest tylko objawem wyczerpania zapasów fosforu. W czasie właściwym podana Phytina prowadzi do równowagi duchowej i do wzmożenia zdolności do pracy nietylko duchowej, a także i fizycznej. Ponieważ nigdy nie możemy użalać się na następstwa nadmiernego podawania Phytiny, czyli fosforu przyswajalnego, to kiedy przyszła matka z swych szczupłych zapasów musi oddawać resztki cennego fosforu, a także w czasie karmienia piersią, staje się jasnem, że tak dla utworzenia kośćca, jak i narządów oraz dla rozwoju dzieci od najwcześniejszego czasu należy posiłkować się Phytiną, której nie powinno braknąć w żadnym domu.

Wyczyny sportowe, nadmierna praca fizyczna, a także umysłowa, zachowanie pogody umysłu, zapewnienie spokojnego, orzeźwiającego snu, a szczególnie rekonwalescencje po wyczerpujących chorobach, po operacjach z utratą krwi, wszystkie te przypadki zastosowania Phytiny są jaskrawym dowodem wielkiego znaczenia fosforu dla ustroju ludzkiego. Brak apetytu, bezsenność nerwowość i czasami to, co Anglicy nazywają „spleen'em", apatja, oto są objawy, któremi kierować się winny żony i matki dla zaradzenia postępującemu wyczerpaniu i zapobiegania przed stojącą u wrót domu chorobie tych, których piecza ciężkim brzemieniem leży im na sercu. Jako potężny środek dla pobudzenia przemiany materji, a zatem dla poprawy warunków odżywiania i wydzielania przez wzmożenie wewnątrzkomórkowego spalania, Phytina zawsze odda swe cenne i niezawodne usługi.

Od niepamiętnych czasów wiadomo, że niedokrwistość wymaga podawania żelaza, jako składnika krwi. Oczywiście samo żelazo cudu ukształtowania czerwonych krwinek nie jest w stanie dokonać, a wymaga jednoczesnego spożywania większej ilości pokarmów wraz z fosforem. Leczenie skuteczne żelazem zwykle ma w następstwie wzbudzenie apetytu, tu jednak te instynktowne żądanie ustroju nie może być zaspokojone, ponieważ wszystkie dotychczasowe przetwory żelaza wymagają stosowania djety, ograniczającej możliwości spożywania właśnie tych artykułów spożywczych, na jakie po żelazie w chorym wzbudza się specjalne pożądanie. Jedynie Ferrophytina stanowi wyjątek pod względem zbędności stosowania djety, przeciwnie, sam potężny współczynnik tego przetworu żelazowego — fosfor pod postacią zupełnie przyswajalnej Phytiny, wprost wymaga obfitego odżywiania bez wszelkiego ograniczenia. Często się zdarza, że u podlotków anemicznych działanie Ferrophytiny wyraża się w większym stopniu, aniżeli nawet po samej, bogatszej w fosfor Phytinie. Zjawisko to łatwo pojąć, zważywszy, że oba składniki wzajemnie się uzupełniając fizjologicznie, tem samem nie sumarycznie, a nieproporcjonalnie potęgują działanie leku.

Przeszło ćwierć wieku trwający zwycięzki pochód tych przetworów jest najlepszym świadectwem prawidłowości aforyzmu prof. Gilberta: „Zadanie racjonalnej terapji fosforem, rozstrzygniętem zostało dopiero z wykryciem Phytiny". Zależy jedynie na wystrzeganiu się naśladownictw, gdyż Phytina jedynie jest tym środkiem, który swe istnienie opiera na niezliczonych publikacjach fizjologicznych i klinicznych, a dlatego też przy wyborze danego środka, należy zasięgać opinji lekarzy.

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA N-R 16 — ROK XI WARSZAWA — LWÓW 15 SIERPNIA 1931 ROKU

NIEWESOŁA WYSTAWA

WYSTAWA jest zazwyczaj pewnym wyrazem luksusu, wykwintu, kultury, bogactwa. Nie urządza wystawy biedak i analfabeta — nie przyjdzie jej oglądać nędzarz. Nie pora myśleć o wystawach, kiedy wojna, kiedy głód, kiedy klęska — nie zdobędzie się na wystawę lud pierwotny, ani zapadły zaścianek. Jednakże osobliwa wystawa, jaka w czerwcu b. r. odbyła się w Warszawie, miała za źródło i podłoże właśnie nie co innego, jak srogą niedolę tysięcy ludzi, pogrążonych w nędzy, głodzie i ciemnocie. Szukać jej trzeba było nie w salonach Zachęty, ani komnatach Baryczków — ale kędyś na Lesznie, gdzie nie dociera strojny tłum warszawski, gdzie życie nie tętni szampańskim śmiechem stolicy, ale huczy wartkim strumieniem dnia roboczego, w którym giną bez rachuby łzy nędzy i krople pracowitego potu.

Wystawa pracy chałupniczej... Niejedna z Czytelniczek odczyta zapewne tę nazwę z lekkiem zdziwieniem, nie rozumiejąc dobrze, co ona oznacza. Chałupnik? Człowiek, zamieszkujący wiejską chałupę, wieśniak, chłop? Ten, który posiada chałupę, czy ten co kątem w niej mieszka? Czy to dobrze, czy źle być takim chałupnikiem?

Otóż chałupnik może mieszkać na wsi, czy w mieście i pracować w każdej gałęzi przemysłu. Nazywa się tak, ponieważ nie chodzi do roboty, ale ją do domu zabiera. Nie jest jednakże wolnym, niezależnym od nikogo rzemieślnikiem, który dzieła swej pracy sam bezpośrednio sprzedaje kupującemu. Nie jest także robotnikiem, bronionym przez ustawę o ośmiogodzinnym dniu pracy, o spoczynku niedzielnym, nie podlega ubezpieczeniu w Kasie Chorych, ani nie ma możności ubiegania się o „minimum egzystencji". Uzależniony całkowicie od przedsiębiorcy, dla którego wytwarza ręczną pracą taki czy inny towar na zamówienie z dostarczonego mu materjału, jest najbiedniejszym zarobnikiem, niewolnikiem XX wieku, parjasem społeczeństwa cywilizowanego. Nietylko polskiego oczywiście. Ale kiedy na Zachodzie opieka ustawowa nad chałupnikiem, który od wieków zasila pracą swych rąk rynki wszystkich krajów Europy, hamuje w najnowszych czasach wyzysk ze strony przedsiębiorcy — u nas poprawa doli tych nędzarzy znajduje się jeszcze w sferze dalekich projektów.

Wytwórczość chałupnicza w Polsce obejmuje prawie wszystkie rodzaje przemysłu. Robią chałupnicy buty i ubrania, koszyki i torebki skórzane, garnki i kwiaty sztuczne, krzesła i kilimy. Najpospolitszy wśród nich — to zawód szewców, a najliczniejszem ich siedliskiem jest województwo kieleckie. Całe wsi utrzymują się z tego rodzaju zarobku. Większość wyrobów rąk chałupniczych stanowią przedmioty, interesujące kobietę zarówno w gospodarstwie domowem, jak też w dziedzinie stroju. A więc koronki wyrabiane w Makowie i Bobowej w wojew. krakowskiem, swetery i pończochy w Warszawie i Łodzi, bielizna w Warszawie, Żyrardowie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, kilimy w woj. krakowskiem, lwowskiem i stanisławowskiem, oraz na kresach północno-wschodnich, wyroby tkackie (na ręcznych warsztatach) w Łodzi, Zduńskiej Woli, Pabjanicach, Białymstoku, guziki z masy perłowej w Sochocinie w powiecie płońskim — parasole, kapelusze, abażury, kołdry, krawaty, rękawiczki, pudełka, zabawki. W Warszawie zajmują się chałupnicy nawet składaniem zegarków, radjoaparatów i gramofonów, oraz drukarstwem.

Najliczniejszy element wśród chałupników stanowią istoty fizycznie najsłabsze, a zatem kobiety, starcy, dzieci. Dzieci już od siódmego roku życia. W ciasnocie, mroku i wilgoci swego nędznego mieszkania pracuje chałupnik na swój twardy, czarny kawałek chleba, spędzając u warsztatu długie godziny, dnie, noce. Przedsiębiorstwa płacą od sztuki, a każda sztuka taka tania, na grosze się liczy! Dużo, dużo kawałków trzeba wykonać, aby zarobić na bochenek chleba, na szklankę mleka — płyną więc godziny, w żadne normy dnia roboczego nieujęte, byle jak najwięcej zebrało się groszy. Czternaście, szesnaście, ośmnaście godzin dziennie — wszystko jedno! Chałupnik rachuje wyrobione sztuki, a nie godziny.

Wystawa przedstawia pstrą, zabawną rozmaitość. W jednej jedynej sali zbiegło się tyle przedmiotów z przeróżnego materjału, z najdalszych od siebie dziedzin, z wszystkich kątów rozległej Polski. Są miłe, zgrabne, ładne, uśmiechnięte kokieterją dobrze wykonanego towaru, aniby się kto po nich domyślił tych prześlęczanych nocy i tych tragicznie śmiesznych groszy, jakie strudzony chałupnik wziął za robotę. Ale te tajemnice zdradzają bezwstydnie napisy. Przeczytajmy parę z nich: Serwetka koronkowa — chałupnica otrzymuje 3 zł. Wykonywa w ciągu 30 godzin. (Za 10-godzinny dzień pracy 1 zł.). Cena rynkowa 4 zł. Koszula damska — chałupnik otrzymuje od 1 tuzina 3,50 zł. Wykonywa ½ tuz. dziennie — cena rynkowa 3,50 zł. Koszyk na chleb — zarobek 0,95 zł. od sztuki — cena 1,20 zł. Chałupnik pracuje nad nim 5 godzin. Czyli w ciągu 10-godzinnego dnia pracy zarabia 1,90 zł... Słowem, za kilkunastogodzinny dzień pracy pobiera chałupnik parę złotych, godzina roboty kosztuje kilka lub kilkanaście groszy. Częstokroć pracodawca płaci wekslami, wyrobionemi przez pracownika artykułami, środkami żywności — nawet wódką.

Niełatwo było taką wystawę urządzić. Chałupnik, nieufny, jak każdy człowiek ciemny, a wyzyskiwany, nie kwapił się dawać informacyj — Bogu wiadomo, na co potrzebne! — a towarem sam nie rozporządza. Przedsiębiorca zaś eksponaty sprzeda, owszem, ale zdradzanie warunków pracy nie leży wszak w jego interesie. Mimo to wystawa dała obraz plastyczny i wymowny tego, czem jest praca chałupników, stanowiących w Polsce trzystatysięczną armję roboczą i zwróciła uwagę publiczną na kwestję smutną, a ogółowi nieznaną.

M. G.

EWA W ŻYCIU POLITYCZNEM

2) Na marginesie dzieła Dra Kinda *„Die Weiberherrschaft in der Geschichte der Menschheit"*

NA ARENIE DZIEJOWEJ nie odgrywają najmniejszej roli, bo jako *„politische Braut"* są jedynie narzędziem w ręku mafji politycznej, pracującej w myśl zasady: *Alia bella gerunt — tu felix... nube.* Jasne jest, że wobec tego, iż dwory kierują się interesami państwa, mało mają zmysłu dla istotnego doboru płciowego. Na tem tle występują często tragedje małżeńskie, jak u Eleonory ze Szkocji, poślubionej Ludwikowi XI z Francji (1423/83), która umierając w 19-tym roku życia, wyrzekła pamiętne słowa: *„Pfui ueber das Leben, ich will nichts mehr davon hoeren"*. Te kobiety nie miały żadnego wpływu, przeciwnie: ze zmianą konstelacji politycznej nieraz wędrowały *maxima cum infamia* zpowrotem (Katarzyna Aragońska, z powodu której Anglja za Henryka VIII odpadła od Kościoła katolickiego (w. XVI), Anna z Kleve i t. d.). Brakło bowiem z wyżej podanych powodów momentu uczuciowego, który wyłącznie toruje drogę do władzy kobiety. Dopiero z końcem XVI wieku zmienia się sytuacja na lepsze. Na pierwszy plan wysuwa się *„die grosse Erbtochter"*, co już samo było równoznaczne z czynnym udziałem w polityce. Ponieważ jednak i tutaj nie wchodziła w grę miłość, przechodziły i te kobiety tragiczne koleje, poświęcając serce — politycznym intrygom (Małgorzata Maultasch, Jakobea z Holandji etc.). Następną fazą jest *„die Politikerin auf dem Trone"*, wśród których pierwsze miejsce zajmuje Marja Teresa (1717—1780); ona wodzi rej a pozostawia swemu mężowi tyle do działania, że on „cesarz rzymski" oświadcza: *„Der Hof — das ist meine Frau. Ich bin nur eine Privatperson"*. Podobnie i Anna w Anglji (w. XVII/XVIII), Marja II etc. i — *last not least* — Katarzyna II. Ciekawe jest, że te „damy" na tronie nie były prawie nigdy nastrojone na nutę pokojową, przeciwnie cechuje je *„Expansionslust"* i chęć „połykania" obcych terytorjów. Taką jest Izabella hiszpańska, Elżbieta angielska, Marja Teresa, która wprawdzie roni łzy krokodyle z powodu rozbioru Polski, ale słowami Fryderyka Pruskiego mówiąc: *„Sie weint — aber sie nimmt"*, a Katarzyna II mimo szeregu „sukcesów" w swej polityce zaborczej planowała jeszcze wyprawę na — Persję, którą uniemożliwiła jej śmierć. Nową orjentację wprowadził wiek Ludwika XIV, który oddala kobiety od wpływu bezpośredniego na politykę, wskutek czego rośnie pośredni, ustalając zasadę: *„Cherchez la femme"*. Zaczyna się osławiona *„Maitressenpolitik"*. Z niemi liczy się i dwór pruski (Fryderyk Pruski i hr. Chateauroux) i austrjacki (Marja Teresa i M-me Pompadour) i papieski (M-me Maintenon). I właśnie Ludwik XIV, który przy wszystkich swych niepowodzeniach wierzył święcie, że jest wysłannikiem Boga na ziemi (sic!), on który stworzył zpowrotem antyczny absolutyzm ku ogólnej szkodzie państw i ukuł maksymę: *„L'etat — c'est moi"*, tak, on *„legt des Staates Geschick in ihre* (Franzisca v. Maintenon) *Haende und billigt das Unheil das diese Frau ueber Frankreich heraufbeschwoert"*. Ona bowiem niweczy wszelką dotychczasową tolerancję religijną, wprowadza inkwizycje, zmuszając najlepszych synów Francji do emigracji. A za tą parą druga: Ludwik XV i M-me Pompadour (w. XVIII). Zakochany w swej damie po uszy zostawia jej całkowicie sprawowanie rządów, a ona — *„zarte, blonde Schoenheit"* marzy — o zniszczeniu Prus. Z jej inicjatywy powstaje trójprzymierze (Rosja, Austrja, Francja) przeciw Prusom. Ona mianuje dowódców, układa plany wojenne, no i umiera z powodu tragicznego wyniku siedmioletniej wojny. Na widownię występuje hr. Dubarry, którą cechuje powiedzenie: *„Tiens, la France, ramasse ma pantoufle!"*, i Marja Antonina, legalna małżonka Ludwika XVI (w. XVIII), krótkowzroczna w swem dążeniu do absolutnej władzy. Ale *tiers état* już był wtedy należycie uświadomiony, przejrzał intencje dbającej o s w o j e dobro władzy i podziękował za długoletnią tak szkodliwą i niecną opiekę. Na gruzach *ancien régime* wyrastają pełne idealizmu postacie takich kobiet, jak Rolland, Rose Lacombe, Theroigne de Mericourt, Olympe de Gouges, które walczą o prawdziwe prawa polityczne i społeczne kobiet. Popiera je dzielnie Marat, który podejmuje ich myśl utworzenia *corps des Amasones*. Zamawia dla nich 18.000 małych sztyletów, by od jednego z nich zginąć (Charlotte Corday z Caën zabija go podczas kąpieli). Ale myliłby się ten, ktoby sądził, że te kobiety nie zużytkowały i tej potężnej broni dla swej i ludu sprawy, którą posługiwały się i ich poprzedniczki: wszakże w ten sposób rozbroiłyby się. Nie, ich *vis sexualis* miała im dopomóc do uzyskania celu, jak ongiś ich nieodrodnym siostrom. Swą osobą w najszerszem tego słowa znaczeniu czynią propagandę, gdy zachodzi potrzeba, co zwolennicy *ancien régime'u* chcieli wykorzystać przeciw nim, zapominając w swej daleko idącej perfidji o klasycznych przykładach niedawnej przeszłości. Powstają kluby kobiet, których programem jest walka o prawa, o całkowite równouprawnienie. *„Die Frauen haben ein Recht auf das Schaffot, also haben sie auch Recht auf die Tribuene"* (Gouges). A poseł Tallien, którego kochankę, najpiękniejszą kobietę Paryża, wtrąca Robespierre do więzienia — w jej obronie zabija 9 Thermidora (lipca) dyktatora Francji, a Teresa Cabarrus, *„notre femme aimée du Thermidore"*, zabiera ważki głos na dłuższy czas. Kres politycznej pracy kobiet kładzie Napoleon I, który pani v. Staël oświadczył, że uważa tę kobietę za najlepszą, która rodzi najwięcej dzieci. Tak, potrzebował dużo *„Kanonnenfutter"* nasz Napoleon „Wielki", nie na rękę mu było przeciwdziałanie oparte na uświadamianiu mas co do istotnych celów cesarstwa. Czasy Pompadour i Cabarrus minęły. Ale poza kulisami wzmagają się nieraz ich wpływy, nawet Metternich leżał u stóp ks. Lieven nietylko jako mężczyzna, ale i jako polityk. *„Jede Gesandtenfrau macht doch Politik"*. Ale historja obdarza je nazwą *„Die Unverantwortlichen"*, gdyż naogół ich zachłanność nie znała granic. Klasycznym przykładem znaczenia *vis sexualis* w polityce jest Hiszpanka Lola Montez, która tak usidłała Ludwika I. Bawarskiego, że z tancerki została nietylko hrabiną, ale *„dürfte ein bisschen Innenpolitik versuchen"*.

W dziele dra Kinda znajdujemy obok tej, w zarysie zresztą przedstawionej, linji głównej także i szereg ubocznych postaci, które dzięki swym dyspozycjom seksualnym potrafiły wywrzeć przemożny wpływ na bieg wypadków dziejowych, podany następnie w sposób nieco „odmienny" w podręcznikach szkolnych, a czasem i naukowych. Stara się te typy kobiece odpowiednio segregować, nie dowolnie, jeno w związku z mniej lub więcej znanemi dokumentami historycznemi. Treść ich nie nadaje się z najrozmaitszych powodów do cytowania, ale jest nad wyraz ciekawa i pokazuje nieraz prawdziwe oblicze poczynań politycznych, a aureola otaczająca najrozmaitszych władców, ministrów i t. d. przygasa. Autor rozróżnia następujące typy kobiece: *das herrische Weib, das dämonische Weib, das lüsterne Weib, die Sklavin, die Machtbewusste, die Unsentimentale,* przyczem każdorazowa cecha występuje w formie wyżywania się seksualnego. Istniejąca dotychczas obłuda seksualna uniemożliwia zbadanie wchodzących w grę stosunków w szerszym zakresie. Fałszywy wstyd stoi na przeszkodzie, a pisemnych dowodów jest mało. Instytut dla badań w dziedzinie seksuologji zbiera tego rodzaju wiadomości, które częściowo w tem dziele, a częściowo w innych publikacjach ogłoszone pokazują nam wreszcie w prawdziwem świetle przejawy i napięcie życia seksualnego.

DR LEON GUTMAN

ZAGADNIENIA EUGENIKI A POLSKA

Wiek dzisiejszy, jako czas panowania maszyny, cyfry i pieniądza, kiedy indywidualność ustępować musi często prawom zbiorowości, a fantazja i oryginalność zmechanizowaniu i szablonowi — nie cieszy się w oczach wielu z nas opinją epoki twórczej. Sądząc tak, mamy na uwadze zazwyczaj te dziedziny twórczości — głównie literaturę i sztukę — które święciły triumfy w dawnych, świetnych epokach i zapominamy, że wiek współczesny ma jednak inną zasługę, jaką pochwalić się nie mogą jego poprzednicy.

Rozszerzył on pojęcie twórczości, nie ograniczając go do zagadnień piękna, ale rozciągając je na wszystkie dziedziny życia, ażeby wywierać na nie wpływ, budując je, przeistaczając, tworząc. Nie zadowala się kompozycją architektoniczną tego czy innego gmachu, ale pragnie tworzyć według swych nowoczesnych kanonów estetyki i użyteczności całe miasta. To, co dawniej bywało dziełem przypadku, dziś staje się wynikiem konsekwentnego i przemyślanego dążenia, opartego zarówno na pomyśle twórczym, jak na wiedzy, doświadczeniu, obliczeniach statystycznych. Epoka współczesna stwarzać chce nietylko dzieła sztuki, ale budować życie, jego formy, jego ramy — nie dla wybranych, lecz dla szerokich mas, dla wszystkich. Myśli tego rodzaju nasuwają się, kiedy się śledzi postępy nauk nowych, pod wpływem zagadnień nowoczesnego życia powstałych — urbanistyki, naukowej organizacji pracy, eugeniki.

Wstąpmy na chwilę do lokalu warszawskiego Towarzystwa Eugenicznego i przypatrzmy się, jak pracuje instytucja, która za cel postawiła sobie uzdrawianie i doskonalenie rasy narodu polskiego, jak doskonali się rasy koni, róż czy truskawek. Z ludźmi oczywiście sprawa o wiele trudniejsza. W grę wchodzi wolna wola, swoboda decydowania o swym losie, prawo. Nie można nakazywać ani zakazywać, można tylko radzić...

W starej kamieniczce na Nowym Świecie mieści się siedziba Towarzystwa. Mały korytarzyk z panienką w okienku; sala odczytowa udekorowana suto barwnemi afiszami, zalecającemi obrazowo życie według zasad higjeny i dbałość o zdrowie potomstwa; szereg szaf bibljotecznych z dziełami naukowemi i książkami propagandowemi, salki pełne przyrządów lekarskich, aparatów, flaszeczek z lekami, wśród których gospodarzą lekarze w białych fartuchach — oto wyraźne dowody, że instytucja nie próżnuje. Chwytam zatem w przelocie jednego z nich — doktora Sieńkę — i zabieram mu pół godziny cennego czasu.

Zgodnie z założeniami, w myśl których założono Polskie T. Eugeniczne, najintensywniejsza jego działalność skupia się około poradni przedślubnej, udzielającej narzeczonym świadectw zdrowia przed zawarciem małżeństwa. Rzecz prosta, nie można zmusić nikogo, aby przed ślubem zjawił się w poradni — tem mniej instytucja nie ma prawa zakazać małżeństwa, jeżeli badanie wypadnie niepomyślnie. Jednakże dzięki propagandzie coraz szersze warstwy ludności zaczynają rozumieć odpowiedzialność, jaką biorą na siebie młodzi małżonkowie, mogący stać się rodzicami, a kartka, jaką otrzymują w poradni, jest dla nich wskazówką, czy wolno im mieć dzieci bez szkody dla siebie, swej rodziny i społeczeństwa. Od czasu założenia Towarzystwa w r. 1926 udzielono tego rodzaju porad około 30.000. Mało, jeżeli się postawi obok tej cyfry liczbę ludności Warszawy i ilość zawartych w tym okresie ślubów — dużo, skoro zważymy, jak trudno jest zwalczyć wśród proletarjatu nieświadomość i nieufność, a u warstw wykształconych — niedbalstwo i fałszywy wstyd.

Naogół korzystają z poradni przedślubnej częściej mężczyźni niż kobiety, w stosunku narodowościowym i wyznaniowym najwięcej żydów, z pośród klas społecznych przeważnie średnia inteligencja. Staraniem Tow. Eugenicznego i przy jego współpracy prowadzi warszawska Kasa Chorych dwie podobne poradnie, na Woli i Pradze. Mężczyźni, którzy pragną wstąpić w stan małżeński, badani są przez lekarza chorób wewnętrznych, psychjatrę, neurologa, specjalistę chorób wenerycznych, kobiety nadto także przez ginekologa. Najpowszechniejszą chorobą społeczną jest u nas gruźlica, jednakże zwalczanie tej klęski pozostawiono Towarzystwu przeciwgruźliczemu. Walkę z alkoholizmem, którą częściowo prowadzi się także w ramach działalności Tow. Eugenicznego, odstąpiono w zasadzie stowarzyszeniu „Trzeźwość". Natomiast nasza centrala eugeniczna wzięła na siebie jako główny obowiązek tępienie chorób płciowych. Do poradni przeciwkiłowej dla matek i dzieci przysyłają pacjentów szpitale, zakłady położnicze, akuszerki. Leczą się tu całe rodziny, korzystając nietylko z pomocy lekarskiej, ale i z lekarstw. Specjalnie interesuje się Towarzystwo stanem zdrowia bezrobotnych, obejmując ich akcją pomocy doraźnej.

Cyfrowy przegląd daje najplastyczniejsze pojęcie o rozmiarach i kierunkach pracy instytucji. W r. 1930/31 zanotowano w poszczególnych poradniach następujące liczby przeprowadzonych badań: w dziale wenerycznym 2001, w poradni przedślubnej 4012, w poradni wyboru zawodu 261, w sportowej 466. Rola Towarzystwa Eugenicznego nie kończy się bowiem na dbałości o fizyczne zdrowie przyszłych pokoleń — zadanie jego sięga także w dziedzinę wartości psychicznych, a jednem z ważnych jego zadań jest staranie o zdrowie moralne narodu, o jego poziom umysłowy, o właściwego człowieka na właściwem miejscu. Pracuje nad tem poradnia zawodowa i sekcja wychowawcza, zajmująca się leczeniem dzieci zaniedbanych i upośledzonych. I w tym kierunku, jak i w dziale porad przedmałżeńskich niema mowy o obowiązku poddania się rygorowi. Szkoły i wychowawcy przysyłają tu dobrowolnie dzieci i młodzież. Nie posiadając poradni psychotechnicznej, która prowadzi badanie uzdolnień zapomocą przyrządów, a jaka w Warszawie istnieje jako placówka rządowa, obejmuje poradnia Tow. Eugenicznego tylko wyższe zawody, analizując wartości umysłowe młodzieży kończącej szkoły średnie drogą pytań i odpowiedzi. Szereg wydanych przez Towarzystwo broszur poucza młodzież o roli, obowiązkach i koniecznościach poszczególnych zawodów — lekarza, nauczyciela, urzędnika, prawnika, inżyniera, rolnika, handlowca, oficera, dziennikarza, artysty, farmaceuty i t. d. Jako wydawnictwo stałe wychodzi kwartalnik pod tyt.: „Zagadnienia rasy".

Oto ogólny zarys działalności Towarzystwa na terenie Warszawy. A w innych miastach? Najwięcej życia wykazał oddział wileński. Poznań skoncentrował swą działalność w kierunku propagandowym w okresie Powszechnej Wystawy Krajowej. Dość ruchliwe są oddziały w Białymstoku i Włocławku — inne przeważnie zdołały zaledwie się ukonstytuować.

Mimo, że efekty pracy Polskiego Towarzystwa Eugenicznego są narazie niewielkie, przecież nie możemy patrzeć na działalność jego zbyt sceptycznie i wzruszać nad nią ramionami. Sam fakt, że ono istnieje — dowodzi, że podążamy powoli wprawdzie, ale stale i konsekwentnie za kulturalnemi społeczeństwami Zachodu. A prace podjęte w tych skromnych pokoikach na Nowym Świecie nie pozostaną niezawodnie bez wpływu zarówno na stan zdrowotny ogółu, jak też na rozwój teoretyczny badań nad tajemnicą dziedziczności i ewolucji rasowej człowieka.

MICHALINA GREKOWICZ

SIOSTRA DOKTORA JUDYMA *

ABY ZNALEŹĆ SIĘ w małem, poetyckiem miasteczku Kazimiery Alberti,

„Trzeba przejść tylko parę żydowskich uliczek, minąć kościół i niski, kwadratowy cmentarz, obrośnięty grabami, splątaną wikliną...” — trzeba zajrzeć miłośnie w karty niedawno przeze mnie omówionej „Pochwały życia i śmierci”.

Ostatnio ogłosiła znana poetka sporą powieść — rzekłbym — społeczną „Ghetto potępione”, powieść o duszy żydowskiej. Zatrzymała się jednak tym razem wśród tych właśnie paru żydowskich uliczek, spojrzała w nie okiem czujnem na ludzką niedolę, na plugawą nędzę żydowskiego ghetta. Dlaczego właśnie żydowskiego. „Każda nędza jest podobna do siebie. Jest jednakowa. Żydowska czy też chłopska... tu niema ani rozdziału, ani stopni, według których należy tę traktować tak, a tę inaczej. Nad jedną przechodzić do porządku... nad drugą się wzruszać”. Ghetto jest wrzodem wiecznym prowincji polskiej. Chcąc prowincję ową uleczyć — a tą chyba troską kierowało się serce poetki — zacząć trzeba od wrzodu.

Czy zagadnienie to nie okazało się zbyt ciężkiem dla rąk kobiecych, czy w poetyckiej palecie nie zabrakło farb dla ponurego obrazu —?

Pochwałą śmierci, w której widziałem już nowy, zgoła męski chwyt poetycki Kazimiery Alberti — dowiodła autorka „Ghetta potępionego”, że nie ulęknie się błota, ani barw mu właściwych nie odejmie.

Pokrzywionemi, jakby rachitycznemi zaułkami, ocierając się o szczerbate parkany, na których suszą się wytłuszczone, stłamszone bety, poduszki ze śladami rozgniecionych pluskiew, zafarbkowane na sino barchany i chałaty zjedzone przez mole i zetlałe, śmierdzące kapy — wchodzimy w zaplute, ponure podwórza, pełne skorup z jaj, zawalone resztkami zgniłych kartofli, by z obrzydzeniem przecisnąć się przez długie, wąskie nory, grzeszne, potworne przystanie dla dorastających podlotków, przez sienie smrodliwe i spojrzeć w oczy jeszcze straszniejszym czeluściom, niechlujnym izdebkom, gdzie na zaświnionych betach, krew spiekłą wyrzucając ustami, dogorywają suchotnicze Icki i Szlojmy i Awrumy...

Tutaj poznajemy niebywale rozmnożoną rodzinę Grünszpannów, poczciwą, do udręki zapracowaną Klarę Grünszpann i cierpliwego Joba o sercu gołębiem — Szlojmę i sprytną Regincię, która pewnego poranka rzuciwszy dom rodzinny, „puściła się” w powiatowem mieście z pięknym kantorem Szmulkiem i bogatym panem Ehrenpreisem, wypływając wreszcie jako światowej sławy śpiewaczka o koloraturze anielskiej.

Owe obrazy małomiasteczkowego ghetta, rysowane z realizmem prawie brutalnym, owe na gorąco utrwalane rodzajowe sceny, nierzadko rozmachem i bystrością obserwacji przypominające może specjalny genre Erenburga, świadczą z jednej strony o gruntownem studjum opisywanego środowiska, o epickim talencie autorki, z drugiej zaś strony stanowią aż nadto sugestywne tło podjętego zagadnienia.

Bohaterką powieści Kazimiery Alberti jest jednak córka Szlojmy i Klary — Róża Grünszpann, wychowana od dziecięctwa prawie w dostatkach i zbytku apartamentów śpiewaczki Reginy. Dziecko, wyrwane z bagna rodzicielskiego ghetta, rozwija się w utalentowaną malarkę, zachowując jednak w duszy sporą dozę typowo żydowskiego uporu, dziwnie konsekwentnej logiki i wrodzonej zresztą żydom ambicji. Owa ambicja, ów jakby nadrzędny stosunek do prostolinijnego żywota, każe Róży odrzucić małżeńskie propozycje syna i ojca Wolfsohnów, każe jej po śmierci Reginy wstąpić na twardą ścieżkę samoudręki. W żydowskiej w głębi, chociaż oddechem innego świata owianej duszy toczy się walka między zewem krwi a nienawiścią głuchą do cuchnącego środowiska, do rodzinnego, zaplutego ghetta. Kilkakrotne jednak odwiedziny w miasteczku, wreszcie śmierć ojca, śmierć — krzyk najboleśniejszej nędzy dokonywają w tej duszy przełomu, stającego się coraz wyraźniej w jakiejś niewymiernej płaszczyźnie. „Można powiedzieć, że ghetto przestało już być nawet dla Róży rzeczą dręczącą a stawało się problemem, który groźnie narastał, który nabierał jak bolesny wrzód”.

I znowu ów problem bolesny każe stłamsić w sercu coraz rozpłomieniającą się miłość ku Litwickiemu — miłość, gdyż gnieciuchowi oddała się Róża z litości, choć nie, raczej ze zrozumienia krzywdy jaką mu życie macoszą ręką wyrządzało.

Czyżby zatem poświęcenie osobistego szczęścia dla coraz wyraźniej krystalizującego się celu — dla jedynego wyjścia z koła samoudręki — czyżby zagadnienie doktora Judyma?

Róża studjuje medycynę, widząc że od tej zgangrenowanej rany ghetta nic jednak nie zdoła jej odwrócić. Zrozumiała, „że tu jest potrzebny ostry, bezlitosny nóż, któryby wyciął dzikie mięso przesądów — a potem potrzebna jest biała szmata, aby tę okropną, czarną ranę przewiązać. I zrozumiała... że tu jej praca. Jej praca mimo wszystko. Choćby to była jedna jedyna kropla, która bez śladu wsiąknie w zapiekłą pustynię nędzy... Choćby to miało być na suchem drzewie jedyne pręcie zielone, które wiatr zerwie i rozsieka”.

Ostatnim rozdziałem, przed osiągnięciem „pełni człowieka” jest noc miłosna z Litwickim. Tak kończy się okres burzy i naporu, okres poprzedzający wielkie osiągnięcie. Tylko, że Róża Grünszpann — żydówka — właśnie dlatego, że żydówka, rodzona — z ducha — siostra doktora Judyma — nie rozpocznie nowego żywota w cieniu sosny rozdartej.

Mimo to jednak problem Róży Grünszpann pozostanie nadal problemem otwartym. WŁODZIMIERZ LEWIK

---

* Kazimiera Alberti: *„Ghetto potępione”* — powieść o duszy żydowskiej. Wyd. „Renaissance”. 1931. Str. 320.

KOŁO MŁYŃSKIE

„Koło młyńskie —
Za cztery reńskie"
(piosenka dziecinna)

Koło młyńskie za cztery reńskie,
jak roztropnie, jak wesoło —
du-du, du-du, dudni — rankiem, nocą i w południe
biegnie w koło — młyńskie koło!

Jak hu-hu-hu huczy! jak szu-szu-szu szumi!
jak wciąż parska, jak się wścieka,
jakże nie chce ani chwili, moi drodzy, moi mili —
na nas czekać!

Koło młyńskie dużo umie,
jaka rozkosz ciągle gnać! ziarno dusić! ziarno prać!
biec bez snu! biec bez tchu!
ości trzeć! ości mleć!
grys szorować szu-szu-szu!

Woda syczy, woda woła: „prędzej, prędzej dookoła!
jeszcze raz i miljon razy — rozburzonym leć przełazem,
rozpienionym korytarzem!"

Woda wszystko wie i czuje, dobrze śledzi i pilnuje,
aby Zły nie wstrzymał koła,
aby nie pomieszał ziarna,
by się worków nie dotknęła jego ręka czarna.
Woda! woda! nasza młyńska panna młoda!

W młynie sypko, w młynie biało!
puchu! puchu skądś nawiało!
ziarna! ziarna znów nadniosło —
nasze młyńskie wiosło!

Wysiadajcie moi mili, łódź przywiążcie do sokory
i do środka wtaszczcie wory
i usiądźcie tu na ławie, posłuchajcie jak łaskawie,
jak roztropnie, jak wesoło —
du-du, du-du, dudni — rankiem, nocą i w południe,
biegnie w koło — młyńskie koło!

Co tu ruchu! co tu puchu!
co białości! co sypkości!

Koło młyńskie, za cztery reńskie —
to jest najmądrzejsza w całym świecie głowa.

Patrzcie drodzy! jak się sypie mąka pszenna, mąka
[żytnia i razowa.

Powieziecie w miasto! będzie! będzie ciasto!
będą! będą chleby — dla nas, dla was moi mili,
także dla tych, co bez chleba zawsze byli!

KAZIMIERA ALBERTI

PORTRETY PARYSKICH DZIECI



STEFANJA ŁAZARSKA od lat żyła z dziećmi i dla dzieci. Tworząc swe słynne, ciągle nowe „lalki paryskie", — nawet wówczas gdy moda „lalce dla starszych" kazała panować w salonach i dancingach, — nie zapomniała artystka o lalce dla dzieci. Z miłością, czujnie, śledziła jakie wrażenie budzą wśród malutkich podawane przez nią lalki. Kochająca, wrażliwa, spontaniczna natura twórcza pozwalała jej odgadywać co może zbudzić zachwyt w oczach dziecięcych, przemówić do odrębnego wyobrażenia o świecie. Tworzyła wedle praw odrębnej, często genjalnej w skrótach i uproszczeniach estetyki dziecięcej istne arcydzieła wdzięku. Śledząc echo swej twórczości w duszy dziecka, obserwowała samych malutkich i stąd lalki jej wzięły ten wdzięk niewymuszony, finezję, to bogactwo wyrazu.

Dziecko rychło się zabawkami nudzi, wciąż żądne nowości, więc nie ustawała w czujności artystka, tworząc coraz nowe formy, w coraz nowe kształty zaklinając śliczną bajkę o towarzyszce zabaw — lalce, która najczęściej powstawała jako aktorka całych scen i opowiastek.

Z biegiem czasu świat wyobraźni dziecięcej, marzeń, baśni, porywów stał się dla St. Łazarskiej źródłem natchnienia przy tworzeniu batików drzewnych, które rozsławiły jej imię jako dekoratorki sali dziecięcej na statku „Ile de France", lub dziecięcych pokoików w nowoczesnych, artystycznych wnętrzach.



W tym świecie czuła się u siebie, bliska sama dziecięcemu odczuwaniu, osiągnęła zupełne współżycie z budzącą się do życia, ciekawą, jeszcze w cuda zapatrzoną duszą dziecka. I poznawszy ten świat jak nikt inny, uczyniwszy go swoim, przystąpiła wreszcie do nowej fazy swej twórczości — do szkiców i portretów dziecięcych.

Dawniej już, w czasie wojny, gdy modne były lalki-portrety naturalnej wielkości, dochodziła w tej gałęzi przez siebie stworzonej, do wielkiego uproszczenia i prawdy w wyrazie (pamiętam niezrównane niemowlę-lalkę), jednak materjał więził i skrzywiał wyraz artystyczny i nie pozwalał wyzwolić się całej subtelności.

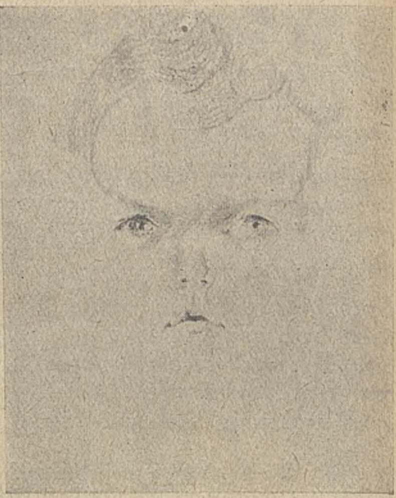
Dziś gdy powstaje serja szkiców i portretów niemowląt i najmłodszych, tej, która duszę dziecka poznała do głębi, wystarczy linja, punkt, cień, aby utrwalić chwilę przeżycia ciągle zmiennego, w płynności kształtu i odczuwań modelu.

Nieomylność ujęcia, subtelność, lotność i pewność przypomina niekiedy szkice dziecięce Leonarda da Vinci.

U tej portrecistki paryskiego dziecka żyje zawsze sen o dziecku polskiem, który od czasu do czasu utrwala się jako najwyższy wyraz piękna dziecięcego, więc dziś, siedząc w podtatrzańskiej wsi otoczona urokiem białych główek dziecięcych i uśmiechem spojrzeń, radabym artystkę przywołać, aby wypowiedziała niewysłowione piękno wolnego, jasnego polskiego dziecka.

ANNA LUDWIKA CZERNY











ROLA MUZYKI W ŻYCIU KOBIETY WCZORAJ A DZIŚ

V. TANIEC WSPÓŁCZESNY

W DZISIEJSZEJ chwili istnieje jedna dziedzina, w zakresie której kontakt kobiety z muzyką utrwala się w sposób zupełnie specyficzny i bardziej powszechny, aniżeli to miało miejsce w latach minionych: to dziedzina tańca.

Taniec nowoczesny jest z tego punktu widzenia czemś zupełnie innem, aniżeli taniec XIX wieku. Po wszystkie czasy rozróżniała ludzkość, bez względu na większą lub mniejszą różnorodność form, dwa zasadnicze typy tańca: typ, który brał początek w życiu realnem i akcentował w pierwszym rzędzie w swej części muzycznej element muzyczny, najbliżej z życiem realnem związany, to jest rytm, i typ, którego genezy szukać należy w twórczych poczynaniach ducha ludzkiego, z realną sferą życia tylko luźnie związany, służący celom czystego piękna, lub czystej ekstazy mistycznej. Za przykład pierwszego typu służyć nam mogą wszelkiego rodzaju tańce ludowe, dawne tańce dworskie i taniec t. zw. towarzyski, to jest tańczony w salonie; za przykład drugiego typu prastare tańce magiczne, znane już u ludów starożytnych jako środek pomocniczy ekstazy religijnej, taniec Derwiszów na Wschodzie, lub tańce rytualne w Chinach, wreszcie taniec pojęty wyłącznie jako gra linij i ruchów. Nie zamierzamy tu mówić o pierwszym typie tańca, którego związek z muzyką, właśnie dlatego, że opiera się na rytmie, a nie na linji melodycznej, jest tylko pośredni i raczej zewnętrznej natury. W przeciwieństwie do tego warunkuje ów drugi typ tańca zupełnie specyficzne formy kontaktu z muzyką.

Podczas gdy wiek XX w zakresie tańca towarzyskiego wytworzył formę własną, dla swej ogólnej fizjognomji duchowej niesłychanie charakterystyczną, którą jest jazz, nie posiada on własnej formy tańca wyzwolonego, względnie nie wprowadza doń elementów, które nie byłyby już znane w epokach poprzednich. Jednakowoż metoda operowania temi elementami i sposób łączenia ich w całość są z gruntu różne, niż dawniej. W drugiej połowie XIX stulecia t. zw. balet klasyczny syntetyzował w sobie niemal wszystkie formy tańca poza tańcem towarzyskim, a od ducha muzyki był on tak daleki, jak może żaden inny. Wszak kierował się on swemi własnemi prawami, któremi były prawa ciała ludzkiego w ruchu i estetyka ciała ludzkiego, ze świadomem pominięciem wszelkiego momentu ekspresywnego i psychologicznego. Pamiętamy jeszcze wszyscy ów balet klasyczny, który w swej formie szczątkowej przetrwał po dziś dzień na niektórych scenach operowych, owe baletniczki w obłokach z gazy i tiulu, lekkością swych ruchów przeciwstawiające się naturalnym prawom przyrody. — Wszelki głębszy sens psychologiczny zdawał się być wygnany raz na zawsze z tego świata powierzchownej gracji, uśmiechu i wdzięku. Dopiero reforma rosyjskiego baletu Diaghilewa usiłuje pchnąć tę sztukę na nowe tory, uzależniając poszczególne ruchy od pewnej treści wewnętrznej i związując kreacje choreograficzne z pełnowartościowym podkładem muzycznym.

I tu jednak nie należy jeszcze szukać właściwego oblicza sztuki tanecznej XX wieku. Przemiana ta była jeszcze zbyt mało gruntowna, za mało sięgająca samych podstaw, by mogła stać się wyrazem skomplikowanego, a tak bardzo zmienionego w stosunku do przeszłości światopoglądu XX wieku. Musiała zostać dopiero odrzucona wszelka sztuczność dawnego baletu klasycznego, jego zakłamana koturnowość i nieszczerość, by mogła narodzić się nowa sztuka. Jej hasłem był „powrót do natury", prostota i harmonijny rozwój ciała ludzkiego na wolności, w kontakcie ze słońcem i powietrzem. Izadora Duncan była jedną z pierwszych apostołek tej nowej sztuki, wkrótce potem powstaje szkoła gimnastyki rytmicznej Dalcroze'a, mająca na celu umuzykalnienie nowego człowieka zapomocą specjalnego systemu ruchów. Przez przeniesienie grup rytmicznych, rozwijających się w czasie, na teren plastyki, system Dalcroze'a uprzystępnia w sposób ogólnie zrozumiały prymitywne podstawy wszelkiej muzyki i stwarza po raz pierwszy możliwość transpozycji wszelkich poczynań muzycznych na język choreografji. Eksperymenty te zyskują specjalne znaczenie z chwilą, gdy wykonywane są zbiorowo, z nich wyszły zczasem wielkie, zbiorowe kreacje taneczne współczesnych Szkół rosyjskich i niemieckich. Powstaje teraz zupełnie nowy sposób wyzyskania w tańcu elementu rytmicznego, zawartego w muzyce. Dawniej — jak to już wspomnieliśmy na początku — taniec bywał też często związany z rytmem muzyki, ale działo się to w innej formie, w formie niejako uschematyzowanej, akcentującej przedewszystkiem rodzaj taktu, a nie dążącej do uplastycznienia najsubtelniejszych i najbardziej skomplikowanych form rytmu, tak, jak teraz. Przytem sposób stylizowania samych tych formuł rytmicznych odbywa się w ten sposób, że dopomaga do transpozycji i linji melodycznej na język plastyki. Powstaje z tego typ tańca ekspresjonistycznego, w którym gest staje się wyrazem pewnej ściśle określonej, głęboko ujętej treści wewnętrznej. Niektóre Szkoły tańca nowoczesnego dochodzą w tym kierunku do rezultatów wprost zdumiewających. Taką jest np. wiedeńska Szkoła Gertrudy Badenwieser, znana też ze swych występów we Lwowie. Badenwieser uzyskuje za pośrednictwem gestu i rytmu kontakt ze stylem muzycznym, a nawet z całym światopoglądem duchowym epok minionych; dowodem tego są jej kreacje z ducha średniowiecza poczęte, lub przepiękne stylizacje tańców Schuberta. W innych wyraża znów Badenwieser ducha współczesności w sposób tak niesamowicie doskonały, że czuje się w nich niejako bicie własnego serca i rytm własnego życia.

Formy te nie są jednak jedynemi formami tańca ekspresjonistycznego. Nierzadko łączy się teraz taniec nietylko z muzyką, ale i z innemi rodzajami sztuki, i to w sposób bardzo rożnorodny. I tu istniały prawzory tej syntezy w dawnych czasach, np. gdy w dramacie nowoczesnym taniec zbiorowy użyty jest w celu podkreślenia rytmu słowa mówionego, w sposób podobny, jak to miało miejsce w starożytnej Grecji. W innych jeszcze wypadkach wciąga dramat ekspresjonistyczny taniec do podkreślenia nie rytmu, ale treści słowa mówionego, akcentując jego ukrytą treść emocjonalną. Staje wówczas gest w zastępstwie elementu muzycznego, którego zadaniem w dramacie muzycznym jest wypowiedzieć tę treść utajoną poza zewnętrznym światem pojęć i myśli. Tak w jednym jak i w drugim wypadku na pierwszem miejscu staje pewien sens psychiczny, w służbie którego dawne piękno, wdzięk i gracja przestają być wartościami samowystarczalnemi, i otrzymują swą jedyną wartość z punktu widzenia w y r a z u.

Jeszcze inny typ tańca XX wieku znajduje genezę wyłącznie tylko w sferze czystego piękna linji, niezwiązanego z żadnym celem praktycznym, ani psychicznym. W nim wypowiada się konstruktywizm naszej epoki, estetyka nowego życia i nowego człowieka, to wszystko, co podziwiamy w pięknie maszyny, w zbiorowym wysiłku wielkiego miasta, w cudownej sile nowoczesnej techniki, niwelującej różnice czasu i przestrzeni. Geometryczność i twarda prostolinijność kształtów, zbiorowy ruch rytmu, rozwijający się przez pracę szeregu ciał ludzkich, zdrowych i jędrnych, zorganizowanych wzorowo i funkcjonujących na kształt nienagannie skonstruowanej machiny — oto ideał tego typu tańca, który do pewnego stopnia też uzewnętrznia pewną treść psychiczną, choć różną od poprzedniej, i zapomocą różnych od niej środków. Na tym terenie łączy się też często ten typ tańca z tańcem towarzyskim XX wieku, którym jest jazz; jazz ze swą miarowością akcentów i mechanicznym powrotem synkopy staje się jednym z najistotniejszych, najbardziej charakterystycznych elementów nowej sztuki choreograficznej.

Jakże potężnem jest więc piękno tej nowej sztuki choreograficznej, jak daleko sięgają jej granice, zazębiając się o wszelkie, nienapotykane dotąd zakresy innych sztuk! Plastyka, muzyka, słowo, architektura — zewsząd czerpie ona natchnienie, zewsząd przyjmuje formy i środki, eksperymentując za ich pomocą zawsze w sposób wybitnie twórczy, powołując do życia coraz nowe kształty. Bo eksperyment jest może najistotniejszą formą wypowiedzenia się współczesnego człowieka, który nawet w obrębie dawnego materjału potrafi być twórczym za pośrednictwem metody, z którą przystępuje do uporządkowania tego materjału, a która ma go przyoblec w kształt artystyczny. Dawniejsza sztuka choreograficzna była udziałem małej garstki wybranych, wtajemniczonych w arkana baletu klasycznego, dzisiejsza jest terenem działania zbiorowego w pierwszym rzędzie, a jako taka staje się bliską każdemu, kto pragnie uczestniczyć w tem wielkiem misterjum sztuki współczesnej. Otwiera się tu oczywiście nowe pole działania dla kobiety współczesnej, czy to w zakresie pracy zawodowej, czy na polu pedagogji. Bo z jakiejkolwiek strony zechce się ona przybliżyć do ducha kultury współczesnej, zawsze znajdzie w tej nowej formie tańca rozwinięcie swych wrodzonych fizycznych i psychicznych zdolności, które pomogą jej zrozumieć pełnego człowieka współczesnego. Znajdzie też w niej pewien osobisty stosunek do muzyki współczesnej, która jest czystym konstruktywizmem linij dźwiękowych, potęgę rytmu, i odbiciem zewnętrznem i wewnętrznem mocnego i prostego, a jednak równocześnie tak bardzo skomplikowanego powojennego człowieka.

DR. STEFANJA ŁOBACZEWSKA

WYSPA SZCZĘŚLIWOŚCI

Jeszcze kilka lat cierpliwości, a byłaby setna rocznica.
Księga podróżnych parowca zapisała:
„Mallorquin opuścił Barcelonę dnia 7-go listopada, 1838 roku, 5-ta po południu, przybył do Palmy 8-go listopada, o 11-tej rano, wiózł następujących pasażerów:
Pierwsza klasa:
Pani Dudevant, mężatka;
Pan Maurice, jej syn, niepełnoletni;
Mademoiselle Solange, córka, niepełnoletnia;
Pan Fryderyk Chopin, artysta.
Druga klasa:
Panna Amelja, pokojówka.

Pani Dudevant była to już bardzo sławna George Sand, która jechała z dziećmi i kochankiem, aby i w lepszych warunkach i pod przychylniejszem niebem wrócił do zdrowia. Niebo przychylne zawiodło, częściowo dlatego, że oni źle byli poinformowani, bo w parę tygodni po przyjeździe nastąpił okres długotrwałych, jesiennych deszczów, a w części dlatego, iż w owym roku była wyjątkowo ostra zima, jaką rzadko widuje się na tej słonecznej wyspie. Co zaś do warunków życia, to Palma nie była tem pięknem, kwitnącem, przeszło 80 tysięcy, jak dziś, liczącem miastem, brak w niej było wszelkich wygód, ni już trudność, ale poprostu niemożność znalezienia odpowiedniego dla chorego mieszkania. Ludność silna i zdrowa złowrogo patrzyła na wiecznie cierpiącego artystę, nie chciała dawać mu posług, stroniła od niego, uważając suchoty za równie niebezpieczne jak dżuma.

Podróżnicy przebyli na Majorce 98 dni, z czego część w zajeździe, w domu przy ulicy de la Marina, część u Senora de Gomez, w domu konsula francuskiego, a resztę, 56 dni, o dwa kilometry od miasta, w Valdemosa, opuszczonym klasztorze Kartuzów. Zajmowali tam jedną celę, składającą się z trzech obszernych komnat, wychodzących na wspólny korytarz i z ogrodu spadającego w terasach. Regułą tego zakonu jest, iż każdy mnich albo posiada własny mały domek, jak poczęści miało to miejsce w naszych Kartuzach, na Pomorzu, albo też posiadał oddzieloną od innych własną część gmachu i ogród, aby go uprawiał i z potu rąk się swoich żywił.

W tej celi rozpoczęło się życie podróżników, trudne a pracowite. A przedewszystkiem szereg smutków, przykrości, cierpień, niepowodzeń i rozterek, pod każdym względem nieudane, „zupełne fiasko", jak to upamiętniła George Sand. Dla niej mniej aniżeli dla towarzysza. Ona bowiem zawsze i wszędzie miała siły do pisania, brania z życia, a nawet wesołości. Sama uczyła dzieci, chodziła z niemi na dalekie przechadzki, a potem, zwyczajem swym, spokojnie w nocy nieraz do różowego rana poprawiała Lelję, pisała Spirydona, posilkując się w dzień widzianemi krajobrazami. Chopin chorował, dręcząc się tworzył, zawsze myśli o Polsce ze sobą wożący. Na miejscowym okropnym fortepianie kończył Preludja, skomponował dwa Mazurki, 2-gą Balladę i naszkicował 3-cie Scherzo. Literatka ciekawemi oczami coraz inne czerpała widoki, muzyk zadowolić się musiał tem, co miał ciągle przed sobą: w zimie pachnące heljotropy, bez słońca — ku słońcu pnące się róże. A także dzikość skalnego pejzażu, która w tej tragicznej chwili życia bardziej go zachwycała aniżeli pomarańcz blask, w jesieni majowo złocący drzewa. Nad szmer cichej fontanny, wiernie ruinie szemrzącej, przekładał krzyk orłów, ku oszalałemu morzu lecących.

Pomimo licznych opisów pobytu George Sand i Chopina na Majorce, licznych wzmianek w listach, świadectw późniejszych podróżnych, a przedewszystkiem książki autorki Lelji: „Un hiver a Majorque", podającej szczegóły, zdawało się dostateczne do ustalenia, która cela służyła za schronienie romantycznej pary, wówczas już tak mało — pary kochanków — dotąd bardzo sprzeczne były w tej mierze zdania badaczy, wahających się wybrać między dziesięcioma do siebie podobnemi. Dopiero w roku 1928, po długich studjach na miejscu, Edouard Ganche, prezes Towarzystwa Fryderyka Chopina w Paryżu, doszedł do pewnego wniosku, które potwierdziło znalezienie rysunku Maurycego Dudevant. Wówczas otworzył się na Majorce komitet, pragnący uczynić z Palmy miejsce artyście poświęcone, cel pielgrzymek wielbicieli jego sztuki, jak Bayreuth jest poświęcone Wagnerowi.

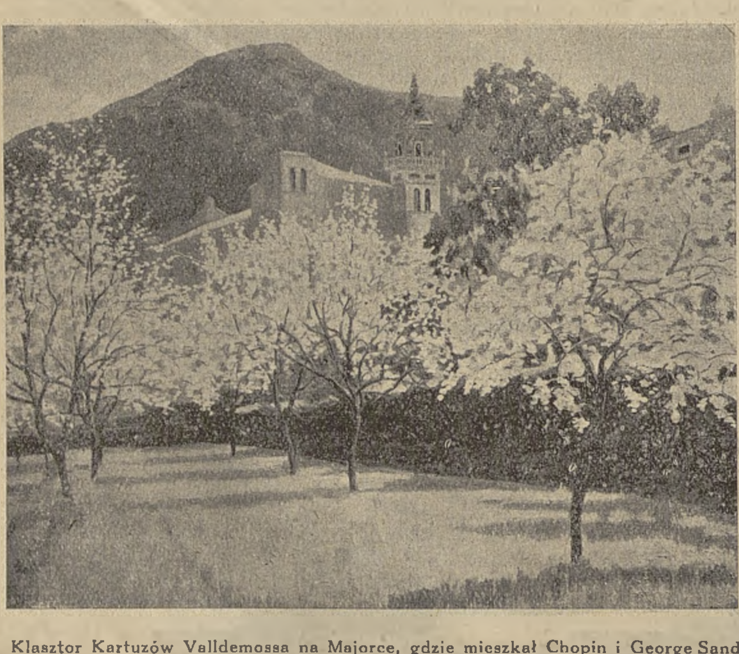
Wybrano datę 17 maja 1931 roku na otwarcie dla publiczności celi, w której żył artysta, celi zamienionej na muzeum pamiątek po wielkim twórcy i smutnym człowieku, rzeczy do niego należących i dokumentów do niego się odnoszących. W związku z tem zapowiedziano szereg muzycznych festiwali, grać mieli artyści polscy i hiszpańscy, przedewszystkiem zaś Hoszowski i Pablo Casals, który między innemi utworami w kapliczce poklasztornej wykonać pragnął Requiem Victorri. Stale na Majorce mieszkający malarz, Bartomeu Ferra, który jest zarazem literatem, wydał po katalońsku broszurkę, przełożoną na angielski, szczegółowo opowiadającą pobyt w Palmie George Sand i Chopina, wspomina o fortepianach, miejscowym, którego dalsze losy są nieznane i Pleyelu, który nadszedł 20 dni przed wyjazdem artysty i który obecnie jest własnością pewnego bankiera. Pracę ozdobił reprodukcjami własnych obrazów i rysunkami w duchu romantycznym, odtwarzającemi pejzaż z przed stu blisko laty.

Na czele komitetu stanął król Alfons XIII, który objął honorowe przewodnictwo, reprezentantami zaś jego w czasie obchodu mieli być Infanta Dona Beatriz i Don Alfonso. Do komitetu naukowego i wykonawczego, prócz przedstawiciela państwa naszego, pana Perłowskiego, zaproszono wielu Polaków, artystów i muzykologów. Barcelona postanowiła zorganizować szereg wycieczek, gdyż po pierwszym, 17-go maja, miał nastąpić drugi festival, 1-szego czerwca.

Pewne zaszły zmiany... El Rey zastąpiony został przez generała Macia, a żółtoczerwone kolory królestwa hiszpańskiego przez trzy kolory rzeczpospolitej katalońskiej. Pozatem nie wszyscy, którzy się wybierali, pojechali, a drugi festival wcale się nie odbył. Przewroty polityczne nieraz szkodzą umarłym...

Tylko wyspa żadnej nie uległa presji ani przemianie, pozostała jak była wyspą, o której Maurice Barrès mówił, że żadnej ziemi wieczór tak słodko nie obejmuje jak Majorki, noc zaś jest jak gaza nieuchwytna, rzucona na krzew ognisty. Na tej dziś w kwieciu wyspie szczęśliwości, za pobytu George Sand i Chopina ludzie nie byli dobrzy, słońce nie było łaskawe. A przedewszystkiem, wielkie ich dusze, tu mniej niż w każdem innem miejscu, drogi do siebie łatwej znaleźć nie mogły...

AURA WYLEŻYŃSKA



Klasztor Kartuzów Valldemossa na Majorce, gdzie mieszkał Chopin i George Sand. (Wedle obrazu malarza Bartomen Ferrá)



Obraz malarza Bartomen Ferrá przedstawiający ten sam klasztor Kartuzów z innej strony

OPOWIEŚĆ O ŚWIĘTEJ KRYSTYNIE DZIWNEJ

2)

ALIŚCI ANIOŁ RZEKŁ:

— To dusze potępione albo pokutujące, Krystyno. Pójdź za mną, a nie stawaj i nie oglądaj się ani na prawo, ani na lewo.

I poszli dalej, ale mimo że na skinienie anioła mgła otaczająca przepaście stała się jeszcze gęstsza, Krystyna, pastuszka z Flandrji — widziała. Albowiem przywykła już była do widzenia we mgle...

I oto z obydwóch stron otchłani zamajaczyły ręce.

Ręce wyciągnięte w rozpaczliwem błaganiu.

Ręce ściśnięte w przekleństwie.

Ręce szarpiące z bólu swe własne członki.

Ręce drapiące skały.

Ręce załamane w beznadziejnej boleści.

Ręce czepiające się czegoś, jak ręce topielców.

Ręce rozchwiane w powietrzu, niby gałęzie poruszające się bezładnie, ostatkiem sił.

Ręce ginące z pragnienia i żebrzące o kroplę dżdżu.

Ręce wyschłe z głodu i błagające o chleb.

I Krystynie wydało się, że to ku niej wyciągają się wszystkie.

Cóż im da, czemże je nakarmi Krystyna?

Jest tylko biedną pastuszką z Flandrji. Jakżeż poradzi sobie z cierpieniem świata?

Nie posiada niczego prócz siebie. Więc mówi poprostu:

— Oto jestem. Bierzcie mnie!

I z rozpostartemi ramionami idzie ku otchłani.

Ale anioł osłania ją skrzydłami, a kiedy je znowu otwiera, Krystyna nie widzi już mgieł unoszących się nad otchłanią i nie słyszy jęku potępionych.

Przed oczyma Krystyny rozpościera się ametystowa dal, a święci patrzą z zadziwieniem na tę dzieweczkę, którą anioł prowadzi przed tron Najwyższego — płaczącą.

Ale Ten, który schodził do otchłani, nie dziwi się.

— Krystyno... — mówi tylko cicho — Krystyno...

I Krystyna podnosi głowę.

Z liljowej poświaty patrzą na nią oczy już raz w dzieciństwie widziane, i pod spojrzeniem ich Krystyna przestaje płakać.

A On pyta:

— Czy wiesz, na co się ofiarowałaś, Krystyno? Bo niczem są męki ciała, które znosić będziesz wobec męki duszy. Tęsknota trawiąca człowieka, który ujrzał niebo i stracił je, pali bardziej, niż ogień piekielny.

Czy nie lękasz się Męki Tęsknoty, Krystyno?

I Krystyna czuje, że w promieniach tych oczu taje w niej w słodkiem zachwyceniu serce, i chce zawołać:

— Zatrzymaj mnie, Panie! Skądże wezmę siły, by znieść mękę oddalenia?! Jestem tylko małą dziewczynką z Flandrji!

Ale w tej samej chwili przypomina sobie owe ręce, ręce wołające z otchłani i odpowiada Panu mężnem spojrzeniem:

— Jestem gotową!

A wtedy On podnosi rękę i mówi:

— Niech się stanie jako zażądałaś!

Powrócisz na ziemię i będziesz cierpieć, a każde twoje cierpienie wykupi jedną duszę.

A gdy zechcesz już spocząć i przywołasz mnie, przyjdziesz spocząć na sercu mojem!

I tu się zaczyna Krystyny żywot drugi.

Krystyna budzi się.

Nad sobą w górze słyszy śpiew. Ale śpiew ten, który dawniej niósł ją na skrzydłach swoich aż w niebo, wydaje się jej po śpiewie anielskim zgrzytem, który ją przeraża. Krystyna podnosi się, chcąc uciec od tego dziwnie rażącego jej ucho wrzasku, i wszyscy cofają się przerażeni.

Ksiądz chroni się za ołtarz, wieśniacy uciekają z kościoła.

Tylko najstarsza jej siostra Marja, która chowała ją po śmierci matki, zostaje.

Powieki Krystyny unoszą się z trudem, ciało jest obcym, nieznośnie gniotącym ciężarem. Tak obcym, że Krystyna spogląda ze zdumieniem i wstrętem na swe ręce i na swe nogi. To nie jest ona. To nie Krystyna. Krystyna jest zamknięta wewnątrz tego i szamoce się w nieznośnym bólu.

Marja i ksiądz patrzą na nią, nie mogąc wymówić słowa, drżący i bledzi z przerażenia.

Krystyna rozgląda się po kościele w zupełnej ciszy.

I ten kościół tak olbrzymi dawniej, tak biegnący w górę ostremi łukami sklepienia, zdaje się ją tłoczyć i dusić.

Kamienne mury odgradzają ją od jej Pana, tam w górze, chcą ją przywalić na zawsze swoim ciężarem.

Przywykłej do przestrzeni niebieskiej Krystynie zdaje się, że te mury walą się na nią, że zamkną ją już na zawsze w swym ciemnym grobie, że nigdy nie ujrzy już Jego.

I Krystyna rzuca się naoślep przed siebie i poczyna biec w górę aż pod strop kościelny i biegnie, tak biegnie tam i zpowrotem, niby oszalały z tęsknoty ptak, tłukący się w klatce.

Aż wreszcie pada bez sił z rozpostartemi ramionami na zimne płyty kamienne.

I wówczas ksiądz i Marja powoli, nieśmiało zbliżają się do niej, biorą ją na ręce i niosą.

W chacie Krystyny tłoczą się wokoło niej wszyscy. Krystyna rozpoznaje już twarze sióstr, przyjaciół, sąsiadów. Tylko twarze te są jakieś inne, niż dawniej. Krystyna czyta w ich oczach, jak w otwartej księdze, Krystyna widzi ich dusze. I jakże ciasne są i maleńkie te biedne ludzkie dusze! Jak mało w nich miejsca na miłość ku Niemu! Fala litości zalewa serce Krystyny. Pochyla się nad niemi, jak matka pochyla się nad chorem dzieckiem. I mówi im o swojem posłannictwie i o słodyczy oczu Jezusowych.

Ale oni chcą wiedzieć, jak męczą się „ci" — „tam". Niech im to powie!

Krystyna patrzy w tępe twarze tych wieśniaków, wiecznie ku ziemi i jej troskom pochylonych, i poczciwych mieszczan z St. Trudon, tak bardzo lubiących wieprzową pieczeń i piwo, i rozumie, że nigdy, przenigdy nie pojmą oni, iż największą męką jest Męka Oddalenia. I rozumie, że chcąc podnieść ku Bogu te dusze trzeba je wstrząsnąć tak mocno, iżby oderwały się od ziemi, trzeba je przepalić w ogniu przerażenia.

I Krystyna wstępuje w rozpalone piece i kładzie się naga na cierniach i przywiązuje się do kół, na których łamią złoczyńców, i spędza całe dnie pod lodem rzeki Mozzy.

Nieskończony jest szereg mąk, które wymienia dziejopis. Męki te były dla niej jednak jeno chwilami spoczynku i ukojenia. Albowiem w straszliwej męce ciała zapominała o stokroć gorszej męce — duszy.

Często bowiem rozpętywała się w sercu Krystyny taka burza tęsknoty, że jako w ów pierwszy dzień po obudzeniu się ze snu śmiertelnego, biegła przed siebie, nie patrząc gdzie biegnie i nie mogła znieść świata, ani ludzi, jeno wyrywała się w górę jak ptak.

Duch jej zaś zdawał się wówczas brać górę nad ciałem, bo wbiegała na góry i dzwonnice, a uciekając w lasy krążyła po wierzchołkach drzew.

A że sądzili ludzie, iż jest szalona lub opętana od

djabła i krępowali ją sznurami, tedy nie śmiała czasem zejść po pożywienie do chaty.

I kiedy razu jednego w dalekie zaszedłszy pustkowie, z głodu tam omdlała, uczynił z nią Bóg cud przedziwny.

Oto wydało się dzieweczce w omdleniu onem leżącej, iż siedzi przed chatą w jasnym blasku słońca, a rozkosz jakowaś niewymowna napełnia jej piersi i że nabrzmiewają one jak pąki na wiosnę. Aż oto podbiega ku niej dzieciątko małe i bardzo wątłe i dzieciątko to jest jej dzieckiem i wyciąga do niej drobne rączki. A Krystyna podaje mu pierś i czuje, jak struga ciepłego słodkiego mleka przepływa przez nią, jakoby dzieciątko ono — nią samą było.

I kiedy ocknęła się, była nakarmiona onem mlekiem cudownem.

Albowiem duch Krystyny ulitował się nad jej biednem umęczonem ciałem i nakarmił je.

Innym znowu razem pojmali ją ludzie, rozgniewani bardzo, iż ciągle im uciekała i sądząc, że od czarta opętana była, ręce jej i nogi do kłody przywiązawszy, do komory ją rzucili. A od sznurów porobiły się jej głębokie rany i kości poprócbniały jej. Tedy poczęła płakać Krystyna myśląc:

— Ach, Panie! Do jakiegoż to grzechu przywiodłam te biedne dusze!

I łzy te, nie nad sobą zaprawdę wylane, zamieniły się w olej cudowny, który uzdrowił rany jej.

Tedy przerazili się bardzo ludzie owi i nigdy już jej tego nie czynili.

A będąc wśród ludzi, nie pożywała nigdy Krystyna z dobra swego, ani nie chodziła prosić jałmużny do ludzi dobrych i sprawiedliwych, jeno szła do złodziei, złoczyńców i skąpców i ich prosiła, albowiem chciała, poruszywszy litością ich serca, zasługę im jakąś przed Panem dać.

A kiedy upłynął pierwszy rok męki Krystyny, pojawił się Krystynie anioł, ten sam co ją nad otchłaniami wiódł i rzekł:

— Otoć posyła mnie do ciebie Pan. Czy chcesz już wrócić do niego, Krystyno?

I zatłukło się w Krystynie serce, jakby z piersi jej chciało wyskoczyć a biec.

Ale wraz wspomniała ręce, wyciągające się ku niej z otchłani, i, serce swoje dłonią uciszając, odparła:

— Pocierpię jeszcze!

I upływał rok za rokiem.

Sterało się ciało Krystyny, mękami dręczone.

Utraciły swój błękit przedziwny i zapadły w głąb jej oczy.

Pobielały jej złote włosy.

Pomarła już większość tych, co pamiętali Krystynę jako dziewczynkę wdzięczną, za owieczkami wędrującą.

I więcej ludzi bało się jej, niż ją kochało, albowiem ludzie boją się cierpienia.

A Krystyna wciąż odpowiadała aniołowi:

— Pocierpię jeszcze.

Ale czasem wątlało już w niej serce, i diakon jeden podpatrzył, jak modląc się w nocy w pustym kościele, skarżyła się:

— O ciało moje, umęczone ciało! Dlaczego nie chcesz zaznać spokoju?

— O serce moje, serce! Dlaczegóż nie chcesz odpocząć?

Czyliż upiłeś się cierpieniem, jak winem?

Bądźcie przeklęte, serce moje i ciało moje, pijacy nienasyceni!

Ale zaraz przypomniała sobie widać, ile zbawiła dusz, albowiem mówiła:

— Bądź błogosławione, ciało moje, iżeś nie bało się mąk!

— Bądź błogosławiona, duszo moja, iżeś nie bała się tęsknoty!

I upłynęło tak lat czterdzieści i cztery.

I było już ciało Krystyny tak przepalone cierpieniem, że przezroczystem być się wydawało, i ledwie go się już duch trzymał. A kiedy przy modlitwie w zachwycenie wpadała, opadało z niej niby płaszcz zużyty, iż garsteczką kostek już się jeno być wydawała.

Tedy nie mógł już dłużej patrzeć Pan na mękę Krystyny i przez anioła swego zwiastował jej, iż nadszedł jej czas.

A nie sprzeciwiała się woli Jego Krystyna, albowiem bardzo już była zmęczona.

Poszła więc do klasztoru św. Katarzyny, w którym rada przebywała i, zawoławszy mniszeczkę jedną młodą, imieniem Beatrix, poprosiła ją, by w komórce swej łoże jej nagotowała.

A miłowała ta Beatrix Krystynę miłością przedziwną, nie rozumem swoim, ale sercem czystem i dziecięcem w serce Krystyny patrząc.

Ułożyła ją tedy Beatrix na łożu swojem i poszła po jakieś zioła, których jej przynieść chciała, a powróciwszy, ujrzała, że Krystyna usnęła w ciszy snem wiecznym.

Tedy owa mniszeczka płakać a wołać Krystyny poczęła, wyrzucając jej, iż opuściła ją i odeszła, nie pożegnawszy się z nią.

I wówczas dusza Krystyny, która już po gwiezdnych szlakach do Pana wędrowała, wróciła raz jeszcze, z jękiem się cichym od szczęśliwości wiecznej odrywając.

Widząc więc Pan duszy tej miłosierdzie nieprzebrane, którą każdego serca wołanie na mękę znów wydać mogło, a ulitowawszy się zbyt długiej męce jej, sam przeciw Krystynie na gwiezdne szlaki wyszedł.

A gdy położył na jej umęczonej głowie swe święte ręce, stała się znów Krystyna złotowłosą pastereczką z Flandrji, jako wtedy gdy stanęła przed nim pierwszy raz.

A gdy przytulił ją do serca swego, utonęła znów w liljowem zachwyceniu, jako wtedy gdy dzieckiem jeszcze będąc, patrzyła w niebo przez liljowe szybki kościoła.

Ale serce jej, to dziwne, nigdy niesyte cierpienia serce, tłukło się i trzepotało, wciąż jeszcze niespokojne, trwożne i czujne, wiecznie czegoś nadsłuchujące, na każdy zew z ziemi powrócić gotowe.

I rzekł jej Pan:

— Niech uciszy się w tobie serce, Krystyno!

I uciszyło się w niej serce.

Nie lękajcie się tedy Krystyny, mali, tchórzliwi ludzie!

Możecie nie myśleć już o tem jako cierpiała.

Ustawcie ją w wiejskich kapliczkach w wianku z rumianku i macierzanki i niech pasterze święcą przed nią na wiosnę zioła, chroniące od złego chaty i obory.

HALINA GÓRSKA

2)

— Dwa, i boję się, że będziesz musiał grać, kochanie.

— Z największą przyjemnością, odrzekł Piter i podszedłszy bliżej zaczął gładzić jej nogi. Gładził je pieszczotliwie i ostrożnie jak zbieracz, który przekonuje się, że dawno kupiona, drogo zapłacona rzecz nie straciła wcale na wartości.

Charlotta lubiła ręce Pitra. Były ciepłe, suche, o długich palcach. Patrzyła na nie z przyjaznym uśmiechem.

— Cóż, kochanie? — spytała, podnosząc na niego oczy. Wziął jej głowę w obydwie ręce i przycisnął do kamizelki. Kamizelka była ciepła, pachniała papierosami, unosiła się wysoko, gdy oddychał z głębi muskularnej piersi.

Słyszała szept jego zegarka i bicie jego serca, czuła się ukryta i bezpieczna jak w małym domku. Właściwie Piter był przystojniejszy od Rudolfa. Ale Rudolf był zgrabniejszy i bardziej pociągający. Zresztą Charlotta była niezmiernie daleka od porównywania tych dwu mężczyzn ze sobą. Piter był Pitrem, a Rudolf — Rudolfem i jeden nic nie miał do drugiego. Jej pożycie z Pitrem, był to porządny, dobrze zbudowany dom, o oknach szczelnie zamkniętych. Gdy przyszedł Rudolf, okna się otworzyły i przez nie wpłynął szeroki świat. Charlotta lubiła i uznawała świat. Jej sumienie drzemało spokojnie, mimo iż dając się pieścić Pitrowi, myślała o Rudolfie. Oczywiście, istnieją na to wielkie słowa: niewierność, zdrada, wiarołomstwo; Charlotta nie rozumiała ich wcale; dla niej były to puste, nierzeczywiste dźwięki. Równie dobrze można jej było powiedzieć, że zdradza Pitra z Lumpim, albo Lumpiego z Katim. Każdego z nich kochała, ale kochała inaczej. Piter i Rudolf byli jak dwa pociągi na równoległych torach biegnące i nie widziała możności ich spotkania i zderzenia. Rudolf nigdy nie pytał o Pitra i nie był oń chorobliwie zazdrosny, jak nieraz bywa kochanek o męża swej kobiety. Oczywiście, nie wolno aby kiedykolwiek Piter dowiedział się o Rudolfie; tak było słusznie i sprawiedliwie; owa tajemnica jednak dziwnie jej nieraz ciążyła na sercu. Każde bowiem dobre małżeństwo, twierdziła Charlotta, polega częściowo na ukryciu swych najgłębszych tajemnic, swych radości, smutków, zawodów i pragnień przed osobą, z którą się dzieli życie. Nie zastanawiała się nawet nigdy nad ewentualnem spotkaniem Pitra i Rudolfa. Całą sprawę trzymała silnie w ręku, a dwa uczucia żyły w jej duszy nie mając żadnych punktów stycznych, ani zaczepnych, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Obaj mężczyźni nie widzieli się nigdy. Z Rudolfem nie spotykała się ani w Hamburgu, ani w Berlinie. Widywała go tylko w podróży, w hotelach, na okrętach, w portach, ośrodkach zimowych sportów i małych odległych miasteczkach. Ich stosunek miał w sobie coś lekkiego i niestałego, coś co mija i ucieka i tem różnił się tak bardzo od każdego małżeństwa. Nawet ich pierwsze spotkanie odbyło się na drodze.

Charlotta z płaczem siedziała przy zepsutym samochodzie, gdy zjawił się Rudolf, niczem anioł zbawienia. Miał ze sobą linę i za swą maszyną przyciągnął ją do najbliższego miasteczka.

Miasteczko było stare, o giętych, widlastych dachach, wieżą obronną i arkadami na rynku. Gdzieś nisko płynęła rzeka, pod bardzo wysokim mostem, a niedaleko mieścił się śmieszny, prowincjonalny lokal taneczny, którego w żaden sposób dancingiem nie było można nazwać. Czekali dwa dni, nim nadeszły części składowe do samochodu Charlotty, potem zostali jeszcze jedną noc...

Ciepła kamizelka Pitra odsunęła się od Charlotty. Na dole znów odezwał się dzwonek.

— Jedno z nas musi zejść na dół, rzekł biorąc gazetę. Otworzył ją na ostatniej stronie, by spojrzeć na wiadomości giełdowe.

— Zaraz zejdę, rzekła Charlotta, poprawiając kamizelką Pitra nieco zwichrzone włosy.

W pokoju panował zmrok, wyciągnęła rękę do kontaktu, by zapalić światło, gdy nagle Piter odezwał się ze swego miejsca pod oknem:

— Czy nie znałaś tego Kempa?

— Kogo?

— Profesora Kempa, architekta, byliście przecież razem na Lido.

— Jest tam coś o nim? spytała Charlotta, nie pojmując w pierwszej chwili, że „jej Rudolf Kemp" a profesor Kemp — to jedna i ta sama osoba.

— A nic — miał wypadek, straszny wypadek, mruknął Piter odkładając gazetę. — No cóż? Idziesz... dodał patrząc na zegarek.

Najpierw nie zrozumiała zupełnie o co mu chodzi, po drugie jakiś instynkt rozkazał jej panować nad sobą. Nawet nie pobladła.

— Czyżby? — spytała tylko sennie.

Dopiero po kilku minutach ogarnęła ją dziwna słabość — zimna słabość pełzająca od kolan, do ramion aż w końce palców. Dotarła wreszcie do jej ust. Było to niezwykłe uczucie.

— Chodź, kochanie, już i tak jesteś piękna, mówił Piter z dobrodusznym uśmiechem, zaś Charlotta widziała przed sobą w lustrze kobietę, która gorączkowo pudruje sobie brodę.

— Idź naprzód, zaraz schodzę za Tobą, — rzekła zupełnie spokojnie.

Zostawszy samą, Charlotta przedewszystkiem usiadła, gdyż kolana pod nią drżały. Wszystkie muskuły jej ślicznych nóg drżały, choć jeszcze nie wierzyła w tę wiadomość. Odetchnęła głęboko raz i drugi, potem wstała by wziąć gazetę. Jak przed skokiem do zimnej wody, mocno zmrużyła powieki i — zaczęła czytać.

Na dole znów dźwięczał dzwonek. Ludzie schodzili się nieubłaganie. Mokrą od deszczu gazetę czuć było atramentem drukarskim. Charlotta powąchała ją najpierw, potem upłynęło kilka minut nim pośród czarnych szpalt znalazła to czego szukała. Głupia, niezrozumiała ulga spłynęła na nią i trwała dalej, nawet po zobaczeniu tytułu notatki:

„Samochód wjeżdża do Nekary.

„Tragiczny wypadek zdarzył się wczoraj koło wielkiej śluzy na Nekarze, pod Mannheim. Wskutek ciemności samochód zmylił drogę i po stromym brzegu zjechał wprost do rzeki. Wóz zniknął pod wodą, w tem miejscu głęboką na 5 m. Młodzi robotnicy idący łąkami kolo szkarpu spostrzegli maszynę. Światła paliły się jeszcze pod wodą. Właściciel utonął, nie mogąc otworzyć drzwi limuzyny. Znaleziono go schylonego nad kierownicą i odwieziono natychmiast do szpitala okręgowego. Środki ratownicze stosowano przez kilka godzin — lecz bez skutku.

Później dopiero okazało się, że ofiarą był jeden z największych niemieckich architektów: Profesor Rudolf Kemp z Hamburga, znany twórca Ratusza w Regensburgu, wielkiego kompleksu osiedli robotniczych w Wünsburgu koło Düsseldorfu i wielu budynków fabrycznych w Nadrenji. Dalsze szczegóły podamy w wydaniu wieczornem".

Na szczęście — zbyt trudne do zniesienia ciosy ogłuszają w pierwszej chwili i każda wielka niedola na krótko przynosi z sobą znieczulenie.

Charlotta była tylko nawpół przytomna, i nie myślała jasno, gdy starannie zamknąwszy gazetę położyła ją na stole.

— Teraz muszę iść na dół i grać w bridge'a, powiedziała sobie, i o dziwo ta myśl najbardziej ją strapiła. Czuła niewyraźnie, że zaraz byłoby jej lepiej, gdyby mogła zapuścić firanki i położyć się w ciemności do łóżka. To było niemożliwe. Z dołu słyszała już głos pani von Pauly.

— Profesor, dlaczego profesor, muszę go spytać dlaczego mi nigdy nie powiedział, że jest profesorem, szeptała cicho nie zdając sobie sprawy z całej beznadziejności swych myśli. Poszła do łazienki, bo ręce jej stały się ogromnie zimne i śmierdziały atramentem drukarskim. Z przyjemnością czuła jak strumień gorącej wody leje się na jej tętna. Nagle straszna myśl: „nigdy więcej, nigdy więcej", jak ostry nóż rozpłatała jej serce. Ból trwał bardzo krótko. Czasem dentysta czyszcząc zęba dotknie żywego nerwu. Stała cicho, chwytając ustami powietrze. Ból minął.

Z salonu, gdzie ustawiono stoliki do bridge'a, gwizdała na nią Marjanna. Zawsze wołały tak do siebie za dawnych szkolnych czasów.

— Przy-chodzę, krzyknęła na dół.

— Anno, rzekła do służącej przez kuchenną windę, proszę podać kanapki i cock-tail'e o szóstej a sałatę owocową o siódmej. Odeszła i wróciła zaraz. — I proszę nie zapominaj o oranżadzie dla doktora Fernaua. Jej mózg działał bardzo rozsądnie i sprawnie.

Sześć osób było zaproszonych. Narazie przybyło tylko cztery, a mimo to Charlocie pokój wydał się przepełniony. W każdym razie był już pełen dymu. Stara radczyni Fritsche paliła cienkie cygaro i co chwila tasowała karty leżące przed nią na stole. Cierpiała na bridge'ową gorączkę.

— Gdzież są Kiernowowie? pytała niecierpliwie, zaczynajmy bez nich, nie zeszliśmy się tutaj przecież dla przyjemności. Pani von Pauly miała pasję do hodowli psów, stała więc z Pitrem koło okna i oglądała uszy Zappla, małego pieska Charlotty. Doktór Fernau siedział w fotelu koło lampy, zaś Marjanna na poręczy tego fotela, aby wszyscy widzieli w jak wielkiej jest z doktorem przyjaźni. Charlotta spojrzawszy na nich odczuła niewyraźny skurcz w sercu — dopiero później przypomniała sobie jak wyglądały włosy Rudolfa gdy patrzało się na nie z góry, tak jak teraz Marjanna patrzyła na włosy Fernaua...

Tymczasem witała się z gośćmi. Zachrypiał dzwonek.

— Kiernowowie przyszli, rzekła.

— Jak się mają dzieci? spytała pani von Pauly.

Piter podszedł do Fernaua, Marjanna do szafy z książkami.

— Członkowie nowego gabinetu będą ci sami... usłyszała głos Pitra.

— Japońskie figurki malują pendzlem, a jeśli nie są autentyczne, to markę ochronną niemiecką można znaleźć na podstawce, rzekła Marjanna, oglądając wielbłąda, palonego z bladej gliny, który stał na szafie. Tę kwestję poruszała już kiedyś — dawniej. Wreszcie ukazali się Kiernowowie. Oboje byli tłuści i okrągli, choć zachowywali ścisłą dietę.

— Anna znów traci głowę, pomyślała Charlotta, patrząc na rozpaloną twarz pokojówki. Anna była świetną służącą, ale większa ilość osób przy bridge'u wyprowadzała ją z równowagi. Wolała stół porządnie nakryty, niż te sztuki akrobatyczne z herbatą i ciastkami.

— Czy popsuło się coś w waszym samochodzie, spytała pani Fritsche Kiernowów. — Jak się mają dzieci? — Kiedy jedziecie do Nauheim? Mówią że czas... — jeśli przejdzie nowy budżet... zawsze sprowadzam z Holandji... papuzie tulipany... jak spódnice zostaną długie... powaga... życie... Wolfram v. Eschenbach..., dwa... trzy zaczynamy.

— Jeszcze chwila a zwarjuję, myślała Charlotta; zostawcie mnie trochę samą, abym mogła pomyśleć spokojnie; czemu oni tu siedzą, jakgdyby nic się nie stało? Muszę się zastanowić — choć minutę. Siedziała naprzeciw pani Fritsche — fanatycznie surowej partnerki.

Charlotta tasowała mechanicznie karty. Fernau przełożył, karty padały na stół głuchym, niezmiernie swojskim chrzęstem.

— Frau v. Pauly wyglądała niczem przewodnicząca posiedzenia towarzystwa dobroczynności i marszczyła czoło ile razy dostała złą kartę. Dobroduszny Piter grał z równie dobroduszną Marjanną, przeciwko silnie podnieconej parze Kiernowów.

— Jak wysoko gracie przy małym stoliku? pytała przez ramię pani v. Pauly.

„Mały stolik" grał po ćwierć feniga, „duży stolik" po pół (światła paliły się jeszcze pod wodą, światła paliły się jeszcze pod wodą, pod wodą) — Charlotta spostrzegła, że wszyscy patrzą na nią z oczekiwaniem.

— Dwa trefy, rzekła machinalnie... godzinami próbowali go ratować... niestety... kiery były atutami, zagrała kiery... wzięła lewą królem karo i zagrała znów kiera. Pani Fritsche skrzywiła się nerwowo.

— Piękna marzycielko... rzekł doktór Fernau, biorąc lewę. Pani v. Pauly bębniła palcami po stole; jej połyskujące paznokcie miały barwę sinawą, bardzo nieprzyjemną. Jeżeli Fernau ma króla pik. — Dajcie mi pomyśleć chwilę, rzekła Charlotta, widząc, że znów na nią patrzą i czekają. Chciała pomyśleć o czemś naprawdę poważnem i nie mogła. — Jeżeli Fernau ma króla pik...

— Nie odkładaj do jutra, co możesz zrobić dziś, odezwała się pani Fritsche. Powiedzenie nieuniknione przy bridge'u. Pani v. Pauly mieszała karty, Charlotta zbierała...

— Dziś wieczór muszę jechać do Mannheim — ale właściwie poco? myślała patrząc na karty.

Przy drugim stole Kiernowowie kłócili się pierwszy raz tego wieczora. Była szósta. Anna wtoczyła stolik z herbatą i kanapkami.

— Trzeba najpierw pracować a potem jeść, mówiła pani Fritsche z za chmury dymu, nawet nie skończyliśmy robra.

— Czy słyszał pan o tym strasznym wypadku? spytał Piter doktora.

— Jakim? Ach tak, w Nekarze. Okropna historja. Wielka szkoda tego Kempa.

— Czy naprawdę był taki zdolny?

— Niezwykle. Jeden z jego projektów przedstawiono naszemu Komitetowi, ale niestety nie wystarczyły fundusze, najpotrzebniejsi ludzie najprędzej schodzą ze świata.

— Przestańcie, to boli! zamkniętemi wargami błagała Charlotta. Bała się, że zacznie krzyczeć głośno.

— Charlotto! jesteś na ręku.

— Wiedziałem, że pani ma króla kier...

— Czy zna pan nową stację w Kiel? On ją wybudował.

— Jeżeli chcecie pisać nekrolog, to nie grajmy w bridge'a, rzekła stara radczyni trochę urażona.

— Cock-tail dla pani Fritsche.

— O czem mówicie? spytała Marjanna podchodząc do Fernaua.

— O tym Kempie, który utopił się w Nekarze, rzekł Piter, nie czytała pani? Moja żona znała go, nieprawdaż kochanie?

— Tak jest, odparła Charlotta.

— Piki, piki atutami, krzyknęła Frau v. Pauly.

— Jeżeli dalej będziecie rozmawiać, nikt się w kartach nie zorjentuje, powiedziała stara Fritsche, coraz bardziej obrażona.

— Czy nie znałaś go też, Marjanno?

— Ja? Nie, odpowiedziała Marjanna, podchodząc do

Pitra. Było widocznem, że osoby, grające przy małym stoliku, chętnie urządzą sobie chwilową przerwę.

— Tu są kanapki z ogórkiem, bez masła, dla pani Kiernow.

— Charlotta myśli o wszystkiem.

— Kto się utopił? Kemp, architekt, ależ to niemożliwe! zawołał pan Kiernow, zdejmując binokle.

— Ma pan słuszność, to jest niemożliwe, powtórzyła Charlotta, jeszcze kanapkę proszę pani, tak — to są rosyjskie kanapki z rybą — nie wiem jak się nazywają.

— Znaliśmy go dobrze, trzy tygodnie spędziliśmy razem na Gelberg'u, ciągnął dalej pan Kiernow. Nie pamiętasz tego Kempa, kochanie, tego zwarjowanego profesora, który wyszedł na szczyt Feldbergu? Zabawny człowiek!

— To on się utopił? Muszę powiedzieć, że nigdy nie był mi sympatyczny, nie wiem właściwie dlaczego.

— Trzeba przyznać, że był okropnie pewny siebie, a jego zachowanie wobec młodych dziewcząt wiele pozostawiało do życzenia. Człowiek po pięćdziesiątce... (Miał więcej niż 50 lat, pomyślała Charlotta).

— Wolałam jego żonę; bardzo miła osoba, pochodzi ze starej nadreńskiej rodziny. Była mu nadzwyczaj pomocna w jego zawodzie, to straszny cios dla niej; zawsze niepokoiła się stanem jego serca. Często mówiła mi o tem.

— Ach, myślała Charlotta, mówią o jakimś innym człowieku. Jak głupio wygląda walet karo! Żeby tylko wieczór minął i żeby sobie wszyscy poszli do domu!

— Anno! mówił Piter, czy przynieśli wieczorną gazetę; chcę aby pan Kiernow mógł przeczytać o tym wypadku.

— Czy będziemy grać dalej? spytała pani Fritsche, stając wojowniczo przy stoliku.

— Nie mogę absolutnie grać z nimi, myślała Charlotta. Czy nie zastąpisz mnie, Piter, rzekła zwracając się do męża, ja idę po gazetę.

Wszyscy popatrzyli na nią.

Weszła do małego hall'u, czując że jest prawie nieprzytomna. Wilgotny dziennik o zlepionych atramentem kartkach tkwił w skrzynce pocztowej. Błagalnie spojrzała dokoła, siadła i zaczęła czytać.

„Śmierć architekta Kempa.

„Dalsze szczegóły tragicznej śmierci prof. Kempa.

„Dowiadujemy się, że profesor był w drodze do Heidelbergu, gdzie pragnął odwiedzić młodszego syna studjującego na tamtejszym uniwersytecie. Pragnął zabawić czas krótki w Nauheim, gdyż cierpiał na chorobę sercową. Liczył 53 lata. Śmierć jego jest poważną stratą dla niemieckiej sztuki. Był twórcą nowego typu wielkich kompleksów mieszkaniowych i przyczynił się w dużej mierze do zmodernizowania budynków fabrycznych. Jego książka: „Budowle trzech wieków" jest podstawowem dziełem współczesnej architektury. Jego studenci stracili nietylko profesora, lecz i przyjaciela, gdyż młodzież rozumiał i lubił otaczać się młodzieżą. Jego żona p. Alicja Kemp, znany socjolog, przybyła wczoraj wieczór do Mannheim w towarzystwie córek. Śmierć profesora wywołała szczere współczucie w szerokich warstwach naszego społeczeństwa. Telegramy kondolencyjne nadesłali między innymi: Minister Oświaty, Gerhardt Hauptmann, przyjaciel zmarłego i wiele wybitnych osobistości. Dowiadujemy się, że stan majątkowy rodziny jest zachwiany, gdyż profesor stracił główną część swej fortuny w krachu kopalnianym Alga-Werke. Pozostawił cenny zbiór monet. Całe życie był zapalonym ich zbieraczem. Pogłoski o samobójstwie Kempa są bezpodstawne."

Charlotta stała w hall'u, trzymając w ręku nekrolog swego kochanka. Ogarnęło ją uczucie strasznej rozpaczy i bezradności. Obcy — zupełnie obcy człowiek — Rudi — profesor, zbieracz — syn dorosły — Rudi. Starała się wyczarować dawne wspomnienia, oczyma duszy ujrzeć jasno jego postać — lecz nadaremnie. Jego skóra na rękach znacznie była ciemniejsza niż na ramionach (prowadząc samochód nie używał rękawiczek), a nad lewą brwią miał małą trójkątną bliznę. Nagle, stojąc tak przed lustrem, z gazetą w ręku przypomniała sobie dokładnie, prawie namacalnie jego pieszczotę. Nieraz bardzo lekko i łagodnie całował zarys jej górnej wargi. Warjacka, bezwstydna żądza zatrzęsła nią przez chwilę... Głos jakiś szepnął: — Ten człowiek już nie żyje...

Anna minęła ją śpiesznie, niosąc tacę pełną talerzy.

— Weź głębsze talerze, — rzekła Charlotta, i dolej do sałaty owocowej dwie łyżki Maraschina.

Odłożyła gazetę i wróciła do salonu. Piter grał teraz przy dużym stole. Była to gra poważna, milcząca, pełna wytężonej uwagi.

— Atuty są duszą gry... mruczał pod nosem doktór Fernau.

— Kochanie, nie możesz nas tak zostawiać, — rzekła Marjanna z wyrzutem.

Charlotta spojrzała na nią zdziwiona, zdawało jej się, że wraca z bardzo dalekiej podróży a tu ci sami ludzie grają tę samą partję bridge'a.

Jej wzrok był pełny niemego błagania.

— Co się stało? spytała półgłosem Marjanna.

— Przepraszam, wyszeptała mieszając karty. Jakie to dziwne, że Marjanna nic nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Rudolf, to jest pseudonim. Zresztą w opowiadaniach swych Charlotta nazywała go rozmaicie: Człowiek z Hamburga, człowiek z samochodem, albo „mój flirt z podróży". Lekkie traktowanie spraw sercowych należało do dobrego tonu.

— I cóż z twoją jazdą do Nauheim, — ciągnęła dalej Marjanna, czując że coś niewytłumaczonego wisi w powietrzu.

Charlotta spojrzała na swe nędzne karty.

— Narazie niema o tem mowy — zresztą czas jest paskudny, — dodała po chwili.

Przy drugim stole znów wybuchła kłótnia. Pani Fritsche coś wymawiała Pitrowi, który wyglądał trochę zmieszany. Fernau przesunął paznokciem po brzegach kart i trzasnął niemi bardzo nieprzyjemnie. W pokoju unosiło się pełno dymu. Charlottę bolała głowa od ciężkiej woni hiacyntów.

(Miał 53 lata, to absurd!)

Anna wniosła owocową sałatę. Karty chrzęściły na zielonym suknie. Trzeci rober się skończył. Charlotta zapisała punkty i znów wstała:

— Przepraszam, muszę na chwilę do dzieci.

Czuła, że choć kilka minut musi być sama.

W jadalnym pokoju kucharka Dora układała solone migdałki w srebrnych czarkach — było chłodno, Charlottę przeszedł dreszcz. Otworzyła drzwi do hall'u. Tam stał obcy człowiek i widocznie na coś czekał.

— Przyszedłem w sprawie ubezpieczenia służby, — rzekł zdejmując kapelusz.

Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem. Drżała coraz silniej, więc nie mogąc się opanować uciekła do swego pokoju.

— Boże mój, Boże, żebym mogła płakać, myślała z rozpaczą.

W sypialnym pokoju zastała Annę ścielącą łóżko.

— Zostaw to narazie, — rzekła i równocześnie ze strachem zobaczyła uśmiech na swojej twarzy. (To przecież niemożliwe, ale uśmiech widziała najwyraźniej). Poszła dalej — do łazienki pełnej gorącej pary. W wannie siedzieli chłopcy z mokremi główkami, z twarzami rozpalonemi od gorąca. Krzyczeli radośnie, gdyż na

(Dok. art. na str. 381)

VICKI BAUM
Tłum. H. Mańkowska

LIST ZE WSI

BŁOGOSŁAWIONYM niech będzie ów mąż zacny i wielkiej szlachetności, który wynalazł urlopy! Jeżeli umarł, niech mu Bóg da zdrowie, jeżeli żyje, niech mu żona lekką będzie. Jeżeli jest alkoholikiem, niech ma za co wyjechać do Ameryki, jeżeli zaś jest abstynentem, — do Szczawnicy. Jeżeli jest urzędnikiem, niech mu nic nie obcinają, jeżeli zaś jest izraelitą, niech nie zostanie wiceministrem oświaty. Jeżeli jest kobietą, niech ma brzydsze od siebie przyjaciółki, jeżeli zaś jest mężczyzną, niech przyjaciele jego mają ładne żony. Jednem słowem: niech dobre duchy dadzą mu to wszystko, czego mu życzliwi nie życzą.

Nie mam encyklopedji, a szkoda, bo znalazłbym nazwisko, płeć i zawód tego sławnego męża, względnie żony (?) i uniknąłbym w ten sposób konieczności tak obszernego i hipotetycznego wyrażenia swych błogosławieństw. Może to zresztą i dobrze, bo zyskałbym wprawdzie uznanie i podziw Czytelniczek z powodu swej erudycji, straciłbym jednak wskutek skrócenia feljetonu kilkanaście dwudziestogroszówek.

Wynalazek urlopu sprawił, że przez jeden miesiąc w roku „by największa ciura uwolniona jest od biura".

Już na długie tygodnie przed pierwszym dniem tego cudownego bezrobocia rozmyślałem nad tem gdzieby tu i za co jechać. Przebiegłem myślą wszystkie najsławniejsze uzdrowiska i bady zagraniczne i krajowe — i wreszcie, znużony tą męczącą podróżą, po zasięgnięciu roztropnej rady portfela, zdecydowałem się wyjechać na wieś. Cichą, skromną wieś polską, na której, jak mówi poeta, wszystko jest opasane niby wstęgą miedzą zieloną, a na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Otóż siedzi sobie taka grusza, a pod tą gruszą siedzę ja. Dla ścisłości muszę zaznaczyć, że ta grusza jest wierzbą, a ja nie siedzę, tylko leżę. I rozmyślam. Rozmyślam nad tem jak pięknie świat jest urządzony. Zwłaszcza na wsi. W pobliżu chodzi krowa i skubie trawę. Wierzba daje cień, krowa daje mleko, a ja płodzę feljeton. I tak jest dobrze, tak właśnie powinno być, — powiedziałaby Nałkowska. Bo jakby to naprzykład wyglądało, gdyby krowa dawała cień, wierzba siedziała pod krową i pisała feljeton, a ja skubał trawę i dawał mleko?

Albo inny przykład. Jest łąka, przez łąkę płynie rzeczka, a nad rzeczką rosną olszyny. Po łące chodzi bocian i łapie żaby. Ptaszęta śpiewają. W zacisznem ustroniu siedzę ja i ona. Jest nam wszystkim bardzo przyjemnie. Ona się cieszy, że nie jest żabą i że nie musi się bać bociana. Ja się cieszę, że nie jestem bocianem i że nie muszę jeść żab. Ptaki się cieszą, że siedzą na olszynach, a nie olszyny na nich, a olszyny się cieszą, że śpiewają ptaki, a nie ja. Żaba skacze do rzeki i tonie w jej nurtach bez szkody dla zdrowia, ja tonę w oczach swej towarzyszki również bez obawy śmierci. Wszystko jest doskonale urządzone i lepiej już nie może być, jak jest. Żeby tylko ona była trochę mniej uparta...!

A propos uparta, muszę powiedzieć, że to jest właśnie największa bolączka mego pobytu na wsi. Tutaj nikt nie czytał ani Boy'a, ani Lindsey'a, ani Russla. Wiejskie dziewice są nie do zdobycia, nawet gdy nie są dziewicami. Wysilałem się na arcydzieła wymowy, odpędzałem kamieniami bociana, prosiłem i groziłem — wszystko napróżno! G r z e c h!

Kobiety na wsi są czyste. — Powietrze również. Ach, jak tu miło oddychać! Tylko nie trzeba wchodzić do chłopskich chałup. Ktoś kiedyś gdzieś wyjaśnił, że właśnie dlatego powietrze na wsi jest takie dobre i zdrowe, że chłopi nigdy nie otwierają okien.

— Panie, — zapytałem raz poczciwego kmiotka, — czemu, u licha, nie otwieracie okien? Zimno wam, czy co?

— E, nie, — powiada, — ino muchy oknami wchodzą.

Być może, że stan sanitarny chłopskich izb jest zbyt smutnym ze stanowiska społecznego problemem, aby go na wesoło omawiać, trudno jednak nie roześmiać się z tego sposobu tępienia much w mieszkaniu, gdzie bez maski gazowej trudno pięć minut wysiedzieć.

Uciekam od tego niebezpiecznego tematu, który budzi we mnie refleksje, charakterowi feljetonu nie odpowiadające, i wracam na łono natury. Niedługo już będzie mi dozwolone na tem łonie igrać, bo urlop zbliża się do końca. Łono zostanie, a ja wyjadę. Więc bawmy się, póki czas.

Najlepiej lubię, jak jest słońce. Tylko, że z tem słońcem to nie jest tak zupełnie w porządku. Jak świeci, to jest taki upał, że człowiek szuka cienia, — jak przestanie świecić, to znowu klnie się na temat: co to za lato! Przy 40 stopniach gorąca człowiek jest tak zmęczony, że mu się nic nie chce, a znowu jak pada deszcz, to nawet, gdy mu się chce, boi się wyjść i długo walczy z koniecznością odbycia spaceru, żeby nie zmoknąć. Bo na wsi niema nietylko wygód, ale nawet małych wygódek.

Mam tu na myśli brak należytego oświetlenia. Słońce stosuje się tutaj do przyjętego na całym świecie zwyczaju, że wieczorem sobie zachodzi, a wtedy zachodzę w głowę, jakby tu rozjaśnić kłębiący się w pokoju mrok.

Lampy naftowe na wsi mają to do siebie, że albo w nich niema nafty, albo jest szkło pęknięte. Raz nam się zdarzyło, że w lampie była i nafta i knot i całe szkło, ale to było w dzień. Po południu szkło samo się zbiło przy łaskawym współudziale kota.

Jak miłe Czytelniczki zapewne zauważyły, użyłem liczby mnogiej: raz nam się zdarzyło. Muszę więc wyjaśnić, że w wypożyczonych nam na plebanji dwóch pokojach spędza urlop czterech, budzących swą powierzchownością powszechny zachwyt, ludzi: ja (młody, przystojny blondyn), dwóch moich przyjaciół (prawie tak przystojni jak ja) i mój ojciec (młody, sześćdziesięcioletni staruszek). Kolor włosów mego czcigodnego życiodawcy trudno określić. Wszyscy twierdzą, że jest zupełnie łysy, on sam zaś twierdzi, że ma tak wysokie czoło, że zajmuje mu całą głowę i kończy się aż na plecach.

Wieczorem grywamy sobie w preferansa, naturalnie, o ile uda się gdzie zdobyć świecę. Jeżeli świecy niema, nudzimy się chórem. Wtedy ojciec świeci łysiną, a ja, jak zwykle, świecę dobrym przykładem.

Gdy noc zapadnie, gdy miesiąc zajdzie i psy się uśpią, — co się zresztą w praktyce nie zdarza, bo bestje ujadają przez całą noc, — leżąc na łożu sianem wysłanem, wpatrzony w gwiazdy, myślę o pięknej wsi.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Któż twe piękno opiać zdoła?
Kto odtworzy krowy ryk?
Kto wieprzowy wyda kwik?

Tu jest wszystko inne zgoła.
Świat obszerny, jak stodoła.
Nie samochód rży, lecz koń,
Wiatr z obory niesie woń.

Kurki ciągle znoszą jaja,
Ptaszęta śpiewają w gajach,
Ogonkiem wciąż merda pies,
Kąsa cię życzliwie giez.

Tutaj wszystko cię zachwyca:
Liść łopianu i bylica.
Oset ci całuje skroń,
A pokrzywa pieści dłoń.

Tutaj listki wiatr kołysze,
Tu przy wozie skrzypi dyszel,
Tutaj pszczółka zbiera miód,
Tu przez krówkę zbrudzisz but.

No, jeżeli tym hymnem pochwalnym na cześć wsi nie zdobędę ostróg poetyckich, to tylko dowód, że miarodajne sfery literackie nie mają poczucia piękna. Mój Boże! Ileż to wielkich talentów pogrzebała krytyka! Jeden jest tylko krytyk, który nie ocenia ujemnie mojego talentu poetyckiego. Jest nim p. Tymon Terlecki. On wie, że jedno złe słowo o mnie powoduje konieczność kupowania nowych okularów. A okulary są drogie!

Czas już skończyć ten list. Całuję Was serdecznie, kochane Czytelniczki, życzę wszystkiego dobrego i proszę, abyście raczyły napisać również do mnie. JÓZEF CZYŚCIECKI

P. S. Proszę nie zawiadamiać mej żony o tym incydencie na łące w cieniu olszyny. Poco ranić jej serce, jeżeli skończyło się tylko na dobrych chęciach z mej strony? J. C.



Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

1)

PANI KAROLINA z Potockich Nakwaska wydała w roku 1843 trzytomowe dzieło poświęcone sprawom kobiecym, jak to się dziś określa. Przeglądając z rosnącym zachwytem tę ciekawą, mądrą, a rozkoszną dziś dla nas pod względem języka i uwag książkę, nie mogę oprzeć się pokusie przytoczenia moim Czytelniczkom niektórych rad i przepisów kosmetyczno-higjenicznych. Czego bo ta książka nie zawiera, jakich tematów nie porusza! A nawet najdrażliwsze z tak miłą dostojnością, powagą, z taką troskliwością o uświadomienie kobiet w najdonioślejszych i najdrobniejszych sprawach, że aż podziw zbiera od jak dawna pracowano u nas w tym kierunku. Pani Nakwaska rozpatruje wnikliwie i szczegółowo zakres działania kobiety w gospodarstwie domowem, w urządzaniu mieszkań, w wychowaniu dzieci, w życiu towarzyskiem i społecznem, zajmuje się higjeną, obyczajami i zwyczajami towarzyskiemi, błędami językowemi, stosunkiem do służby, do domowników. Podaje też rady wypróbowane „w kraju i za granicą", a nadewszystko zaleca pracowitość, oszczędność i czystość, gdyż:

„Widok brudu, — nieporządku i tej złoconej nędzy między najbogatszymi nawet, — która jest cechą nieszczęsną gustów naszych; — oburza zmysły i zakrwawia serce! To poprawić, ile słaba możność moja dozwoli, jest mą chęcią.

„Pielęgnujmy cnoty nadbabek naszych, gościnność, skrzętność, bogobojność, lecz odrzucajmy niedbalstwo, samolubstwo, lenistwo, zalotność, zkądkolwiek pochodzą."

Autorka na każdem miejscu zaznacza potrzebę skrupulatnej czystości, zapewniając „iż czystość i porządek nie w jednem tylko miejscu, nie tylko około Ciebie, ale wszędzie zaprowadzonemi być powinny; a w ten czas dopiero prawdziwą osiągniesz z tego korzyść, nie tylko pod względem przyjemności, ale i samego zdrowia i oszczędzenia się w wydatkach".

Wspominając o łazience, tak pisze: nieodzownie potrzebne jest to miejsce przy domu dla waszej, dzieci waszych i domowników wygody; z wyobrażeniami naszemi, wiem, że niejedna z spółrodaczek moich, raczéjby szal turecki kupić sobie pozwoliła, a mąż jej prędzejby sto butelek Szampana wypił, jak gdyby mieli do domu sprawić wannę miedzianną.

Przez wszystkie trzy tomy przewijają się nieustannie przykazania czystości, jako czynnika zdrowia, zadowolenia i kultury. Tom trzeci podany jest w formie słowniczka. Zastanawiam się, co z niego przytoczyć; wybór trudny, gdyż czego tam niema! Oto np. otwieram na literę *n* i cóż czytam: *Niedola.* Ustrzedz się jej w życiu nie jest w naszej mocy; lecz lekarstwo najskuteczniejsze do uleczenia boleści serca, równie jak w innych stratach i przygodach pocieszenie jest *zajęcie się i praca ;* przeciwnie gnuśność, próżnowanie, samą pomyślność w niesmak zamieni. — Czy nie wzruszające? — A tuż obok:

Oczy. Gdy powieki są czerwone i zapalone używać można z dobrym skutkiem odwaru bzowego, do którego daje się kilka kropel *laudanum liquidum ;* i w tem się maczają płatki i na oczach trzymają. Na uśmierzenie zapalenia oczu dobry jest kataplazm z liści bobkowych gotowanych, ten się letnio na oczy przykłada, co prędko ogień wyciąga. Na zapalenie oczu dobrem jest jeszcze lekarstwem przyłożyć na nie przez sześć lub ośm godzin białko od jaja na pianę ubite, do którego się doda kamfory w proszku szczyptę i tyleż cukru miałkiego; z tej massy się robi jakby kataplazm na płasko ją rozciągając. Jeżeli oczy przeciwnie cierpią z osłabienia, jak to po połogach czy z pracy bywa itp. słusznem jest środkiem w wieczór nań przykładać płatki maczane w tęgiem białem letniem winie. Także na wzmocnienie wzroku: Maczają się bławatki polne w pół garncu wody filtrowanej, do której się dolewa szklankę spirytusu. Na słońce się tę wodę wystawia i co rano nią oczy przemywa. Tej wody używają pospolicie dziewczęta koronki robiące, która to praca, jak wiadomo najbardziej oczy psuje. Rossa w maju zbierana na chustach, które się wykręcają, też na wzmocnienie oczu służy.

Oparzenie. Mnogość maści i olejków na oparzeliznę przeszła w przysłowie. Najlepszy jednak środek, który najrychlej ulgę przynosi i leczenie przyspiesza: jest obmywanie natychmiast i często miejsca zbolałego czerwonem letniem winem w zimie, a zimnem w lecie, także trzymanie części oparzonej w oliwie, póki się tylko ból czuje, lub przykładanie wody gulardowej z dodatkiem bitego na pianę białka. Tarte ziemniaki również cierpienie uśmierzają. Gdy sparzenie nie jest tak mocne, aby skóra zeszła, tylko czerwona i pali, Ether mięszany na pół z wodą, ból uspokaja. Przykładanie waty na oparzeliny, tylko w razie mniej gwałtownym służy.

Nagniotki. Zerwij kilka liści bluszczu, namocz je w occie i przez 12 godzin przyłóż na miejsce bolące w kształcie kataplazmu.

Czosnek. Dla zniszczenia złego oddechu, który się miewa, gdy się czosnek jadło, trzeba kilka listków pietruszki przeżuć.

Pszczoły ukąszenie. Aby uśmierzyć ból, który sprawia ukąszenie pszczoły lub innego owadu, należy przyłożyć na miejsce zbolałe soli miałkiej w wodzie zmaczanej; tę się płateczkiem przyciska i owiązuje bandażem. Ether na ranę nalany, też ból uśmierza.

Pomada dobra na zabespieczenie włosów od wypadania. Weź pomady różannej w aptece 99 części, do tej jedną setną część proszku kantarydowego, dobrze razem zmięszaj. Używaj jak zwykle.

Pomada czyli maść topolowa, bardzo dobra na włosy. Gdy pączki na topoli dopiero pękać zaczynają, nazbieraj ich pełną kwartę, wymięszaj z kwartą czystego sadła; smaż na wolnym ogniu, póki tłustość niezazieleniej i pączki się nie rozgotują. Gdy jeszcze ciepła, przepuść przez gęste sito lub rzadkie płótno tak dusząc, aby się tylko pączki zostały i nałóż w słoiki. (Tą pomadą smarują się też hemoroidalne gruczoły).

Padanie się skóry u rąk. Ogrodnicy i ludzie około ziemi pracujący podlegają padaniu rąk, co im wielki ból sprawia. Cierpienie to pochodzi z twardości i suchości skóry: aby mu zapobiedz, należy kilka razy na dzień nacierać ręce maścią z żółtego wosku na pół z oliwą przetopionego.

Paznokcie. Próżną jest zapewne rzeczą czas poświęcać szlyfowaniu paznokci i przysadą śmiechu godną, nosić je długie, jakby szpony. Ale też nic obrzydliwszego, jak brudne, ogryzione lub, jak to mówią w żałobie paznokcie. Trzymaj więc w tem środek i jak już mówiłam miej staranie około rąk. Anglicy powiadają, że po rękach wysoki ród i dobre od dzieciństwa wychowanie poznać można. W istocie w późniejszym wieku nigdy nie będziesz miała ładnych rąk, jeżeliś je z małego nie ochraniała. Aby paznokcie czyste były i ładną miały formę, należy je regularnie obcinać owalnie. Aby zaś skóra w koło nie przyrastała, co brzydki widok sprawia, daje zadziergi i bolesne zanokcice; trzeba za każdą razą, co się ręce dobrze wymyje i kiedy są jeszcze mokre, ręcznikiem posuwać skórę, aby odstała. Ogryzanie paznokci nietylko jest szkaradnem, ale bardzo niezdrowem przyzwyczajeniem. Sławny jeden doktor zapewnił mnie, iż jad, który się w nich znajduje wysusza piersi i że częste gryzienie paznokci w suchoty wprowadzić może.

EFEB

(Dok. n.)

PLOTECZKI O MODZIE

MODNA BIELIZNA

KAŻDA Z NAS jest rozmiłowana w pięknej bieliźnie. Bezwątpienia. Są nawet takie między nami, które wolą odmówić sobie sukni lub jakiegoś efektownego uzupełnienia garderoby, a za to sprawić cośkolwiek z bielizny osobistej. Jest to zresztą cechą kobiet o wyrobionym zmyśle estetycznym i higjenicznym, że przykładają dużą wagę do bielizny, jej jakości i czystości, do sukien domowych. I co dziwniejsze, właśnie te panie zawsze „mają się w co ubrać", jakkolwiek nie sprawiają bezustannie nowości, nie uznają bowiem zewnętrznego blichtru i rzeczy na pokaz, lecz spokojną, pewną siebie prostotę. Nie uznają tego rodzaju powiedzeń jak: tego i tak nikt nie widzi — ale przeciwnie, podwajają staranność dla samych siebie i źleby się czuły w najwytworniejszej sukni, o ileby bielizna pod nią była zaniedbana.

Ze zmianą linji sukien musiały zajść zmiany w kroju bielizny. Nie znaczy to jednak, żeby dobra jeszcze bielizna z lat poprzednich nie była do użytku; owszem można ją zgrabnie przerobić stosownie do obecnych wymogów.

Zmiany idą w trzech kierunkach:
kroju,
obwodu,
rodzaju zdobień.

Krój dzisiejszej bielizny uznaje naturalną linję ciała, czyli chętnie ją zaznacza, lekko przylegając mniej więcej do pasa i bioder. Poniżej rozszerza się z pomocą wolantów, fałdów, kloszów. Odnosi się to do dziennych koszulek i kombinezek.

Nocne koszulki zachowały linję prostą, ale są albo przewiązane w pasie, albo trzymają się kroju empire.

Style, które wywarły wpływ na rozmaitość modeli sukien, zaznaczyły się również w kroju bielizny. Widzimy zatem reminiscencje stylów empire, directoire i greckiego. Podlegają temu głównie kombinezy, nocne koszulki i spody sukien. Te ostatnie, niezbędne pod suknie z materjałów przejrzystych, wykonywane są często zupełnie obcisłym krojem princesse. Spód pod takie suknie, t. zn. jego krój i wdzięczne przyleganie do ciała, decyduje o dobrem leżeniu toalety. Spód luźny, bez indywidualnej formy, musi popsuć najlepiej skrojoną suknię. Jest to ważny szczegół, wypróbowany, o którym jednak nie wszystkie krawczynie wiedzą, a tem mniej panie.

Rozróżniamy dwa rodzaje kombinezek: combinaison-pantalon i kombinezę, która zastępuje dawną spódniczkę pod spód. Różnica między niemi polega na kroju dołem i długości. Pierwsza jest zapięta w kroku i daje w jednym kawałku koszulkę i majteczki; jest też tak króciutka jak dzienna koszulka, t. j. kończy się mniej więcej na wysokości 10 cm ponad kolanem. Druga jest cała wolna, bez zapięcia w dole, długa do połowy łydki. Przy zwykłych sukniach zastępuje spód.

W całej bieliźnie, dziennej, nocnej, w kombinezach i spodach widoczna jest tendencja do utrzymania pasa w pasie, czy to przez krój, czy przez związanie w pasie. Z wyjątkiem stylu empire, oczywiście.

Szerokość dołów koszulek i kombinezek osiągamy bądźto przy pomocy kloszowego kroju, bądź też wstawianych fałdów, wolantów, godetów, części marszczonych. Obwód wszelako nie może być przesadny, gdyż odznaczałby się pod sukniami, z reguły znacznie niżej rozszerzonemi. Raziłoby to zwłaszcza przy sukniach co-





dziennych o linji prostej, przy koszulkowych modelach sukien, które tego lata opanowały przedpołudniowe i sportowe suknie.

Bielizna dzienna, złożona z kilku części, t. j. taka, jaką zeszłego roku próbowały wprowadzić różne firmy zagraniczne, nie znalazła oddźwięku w praktyce. Kombinezka wyszła z tej próby zwycięsko, jako zajmująca jak najmniej miejsca, a zatem nie pogrubiająca sylwetki. Pozatem okazała się wygodniejsza i dużo tańsza. Kombinezka bowiem, sięgająca połowy łydki, zastępuje trzy rodzaje bielizny: koszulkę, majteczki, spódniczkę, a czasem i napierśnik nawet. Rzecz jasna, są zwolenniczki



bielizny złożonej z kilku części, ale przewaga jest po stronie wygody, .celowości, praktyczności i ekonomji.

Praktycznym pomysłem są kombinezy, które mają zastępować spody pod suknie przejrzyste. Muszą mieć jednak odpowiednią długość i dekoltaż. Wobec mody czarno-białej, dobrze jest mieć jedną czarną, drugą białą. Pod wzorzyste muśliny, żorżety, markizety i t. p. można wkładać raz czarną, raz białą. Krój princesse, dół nieznacznie poszerzony.

O pyjamach pisałam niedawno szczegółowo, a dziś pragnę jeszcze raz podkreślić konieczność prostoty dla modeli rannych i wogóle domowych.

Pozostaje do omówienia zdobienie bielizny, oraz rodzaj materjałów.

Do obowiązków sprawozdawczyni należy, rzecz prosta, informowanie o wszystkiem, co się nowego pojawi w modzie, a zatem i o wybrykach i o luksusie. Ale nie jest to przecież równoznaczne z zachęcaniem do naśladowania. Stale też zaznaczam, że środowisko, w którem żyjemy, nie nadaje się do bezmyślnego małpowania pomysłów dostępnych dla miljarderek.

Zdobienie bielizny przybrało formy rozrzutne. To samo można powiedzieć o materjałach.

Koronki prawdziwe, gipjury, ręczne hafty, aplikacje, mereżki, zakładeczki, wypusteczki, marszczenia rzędami jeden pod drugim formujące bufki — oto mniej więcej co byłoby do zanotowania z dziedziny zdobienia bielizny osobistej.

Wśród materjałów, oprócz przepychu jedwabnych krep, jak: crêpe satin, crêpe de Chine, crêpe Georgette, crêpe Fleuri, crêpe mongol, satin Rêve de Nice, crêpe lavable, petite reine, muślin wzorzysty, muślin façonnée, gaze lavable, linon — mamy do rozporządzenia także i gatunki praktyczne, przystępne dla budżetu klasy średniej. A zatem: perkalina, batyst, opal, szyfon, surowy jedwab, jedwabne płótno, sztuczny jedwab, lioński jedwab i wogóle bieliźniane wyroby krajowe, które posiadamy w gatunkach pierwszorzędnych, a po cenach znacznie niższych, jako nie podlegających ocleniu. Zdobienie tych materjałów jest znacznie skromniejsze, a mimo to bielizna wygląda wytwornie. Nadaje się tu ręczny haft we wszystkich jego odmianach; mereżki i to nietylko ręczne, ale i maszynowe są misterną ozdobą, zwłaszcza gdy same zaprojektujemy rysunek. Aplikacje z tego samego materjału lub z materjału innego gatunku i odmiennego koloru dają śliczne efekty. Koronki szydełkowane ręcznie lub filety, a także kupne maszynowe niemniej pięknie przybierają koszulki dzienne, nocne i kombinezki. Wreszcie zakładeczki, wypustki wyglądają bardzo wdzięcznie.

Kolory mniej więcej te same, co od kilku lat. Różowy w różnych odcieniach pastelowych i żywszych spotykany jest najczęściej. Wraca kolor biały — zdaje się wobec mody białych sukien, do których nie nadaje się żadna inna bielizna jak biała — a także ukazały się czarne koszulki. Tak białe jak czarne przybieramy koronkami szaremi i żółtawemi. Ale mogą być zupełnie białe lub w całości czarne. Dalej przyjęte są kolory: bledziutko niebieski, morski, turkusowy, lila, jasno zielony, lipowy, kremowy, blado cytrynowy, perłowy. Materjały w drobne kwiatuszki są od zeszłego roku mile widziane.

W przeciwieństwie do naszych matek i babek bielizny nie sprawiamy dużo. Obliczamy dokładnie swoje zapotrzebowanie na krótką metę, licząc się ze zmianami mody i z łatwością prania dzisiejszych drobiazgów bieliźnianych. Nowoczesne żelazeczka i proszki do prania ułatwiają i upraszczają ten zawiły dawniej problem. Z tego też powodu i w podróż nie zabieramy fantastycznych ilości sztuk jak dawniej, lecz zaledwie kilka dostosowanych do nielicznej również garderoby. Nikłe rozmiarami koszulki i kombinezki łatwo wyprać samej na letnisku, w pensjonacie, w hotelu podczas porannej lub wieczornej toalety.

Mówiąc o bieliźnie nie wolno zapomnieć o tak ważnym artykule jak chusteczki. Największem powodzeniem cieszą się chusteczki zdobione ręcznie czy to mereżkami, czy hafcikiem nikłym, czy też koronkami filet, szydełkowanemi, wyciąganemi na tiulu. Bardzo pięknie wyglądają zdobienia w dwóch kolorach, dostosowanych do sukien. Chusteczki w dobrym tonie nigdy nie będą za strojne. Materjały dowolne: opal, batyst, krepy jedwabne, żorżeta.

Nie mogę zakończyć artykułu o bieliźnie bez poruszenia pewnego tematu, który mi oddawna spokoju nie daje. Do bielizny zaliczamy również pewien drobiazg chroniący piersi, a zatem *napierśnik*. Mamy więc piękne polskie i jasno cel jego określające wyrażenie. Tymczasem niektóre panie — zastrzegam się, że z pod wszystkich trzech byłych zaborów — używają zamiast słowa: napierśnik, takich ohydnych dziwolągów jak biustonosz, albo biusthalter. Dlaczego?! Wierzę, że Czytelniczki „Świata Kobiecego" zarzucą od dzisiaj te obco brzmiące ohydy i przyswoją sobie śliczne polskie słówko: napierśnik.

CAILLER-SOBAŃSKA



106 107 108 109

SUKNIE NA PEŁNE LATO Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW WZORZYSTYCH



106 Suknia z markizety białej z czarnem. Stanik zawijany zprzodu i na plecach. Spódniczka obcisła do kolan, poniżej obfity klosz, układany w fałdy.

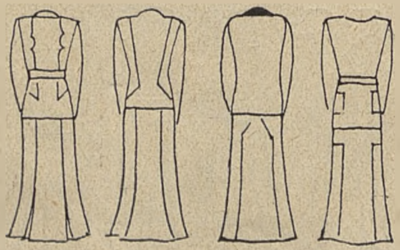
107 Suknia z granatowego muślinu w biały deseń. Lekko przylegający stanik zdobi suto fałdowana pelerynka. Spódniczka przybrana wolantem na biodrach; dołem klosz. Kapelusz, kołnierz, rękawiczki, pończochy i pantofelki — wszystko w białym kolorze.

108 Suknia czarno-biała z żorżety. Krój prosty; na spódniczce plisa wykończona wąziutką zakładką. Od plisy wdół klosz z partją wstawianych równych fałdów dobrze zaprasowanych.

109 Suknia z białego szyfonu; wzór wiśniowy. Wolanty przybierają bolero, rękawki i suknię na biodrach. Haftowany przodzik wstawiany.

KOSTJUMY LETNIE Z JASNEJ WEŁNY, FLANELI LUB SHANTUNGU
MATERJAŁY KRAJOWE





110 Kostjum biały, przybrany białemi guzikami. Szerokie, miękkie wyłogi, przód i plecy żakietu pozacinane w zęby, pasek z tego samego materjału. Zprzodu i wtyle spódniczki dołem wstawiane układane fałdy.

111 Kostjum w kolorze panama. Krój angielski, żakiet lekko wcięty, guziki ciemno-bronzowe.

112 Kostjum w dwóch kolorach: spódniczka czarna, żakiet jasny z czarnemi wyłogami.

113 Kostjum sportowy blado-niebieski w piaskowe prążki.

POŁĄCZENIE KRATY Z GŁADKIM MATERJAŁEM. WYROBY KRAJOWE



114 Kostjum z krepy chińskiej. Spódniczka gładka czarna, żakiet w białą kratę. Zapięty na jeden guzik, wykończony dokoła listewką.

115 Kostjum biały z bronzowym. Biała bluza żakiecikowa z krótkiemi rękawkami i szerokiemi wyłogami, zapięcie dwurzędowe. Pasek i guziki bronzowe. Spódniczka w bronzową kratę; fałdy układane.



116 Suknia w dwóch kolorach. Biała bluzka skrzyżowana, wykończona zacinanemi w materjale zębami. Spódniczka ciemno-zielona w białą kratę; przód i tył gładki, boki układane w fałdy.

117 Kostjum złożony z żakietu w kratę i gładkiej spódniczki. Kolory: kość słoniowa i złoty bronz.



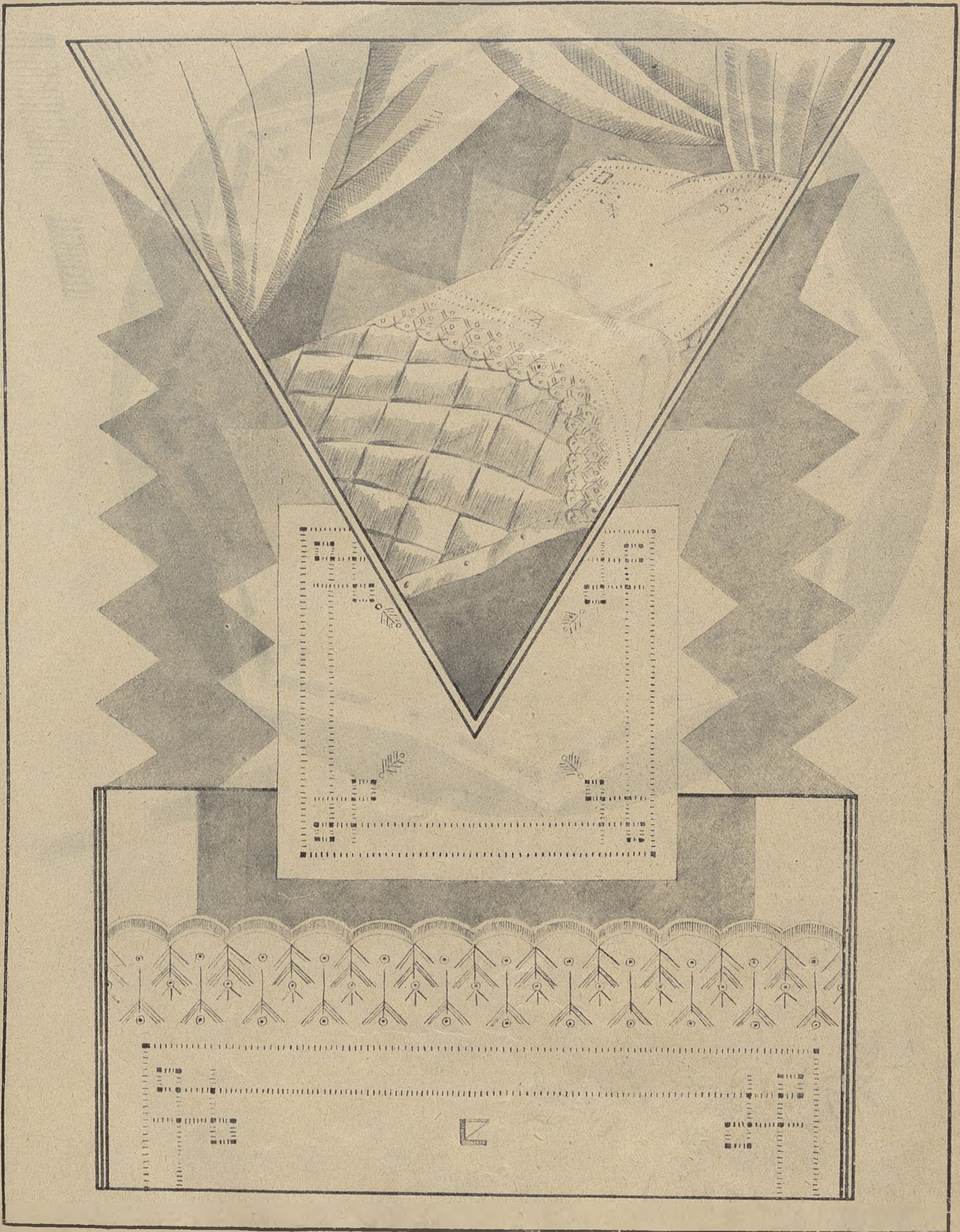
118 Płaszczyk z lekkiej jasnej wełny, odcinany w pasie. Przybrany stebnem i guzikami.

119—120 Sukienki z materjałów do prania, przybrane dyskretnym hafcikiem.

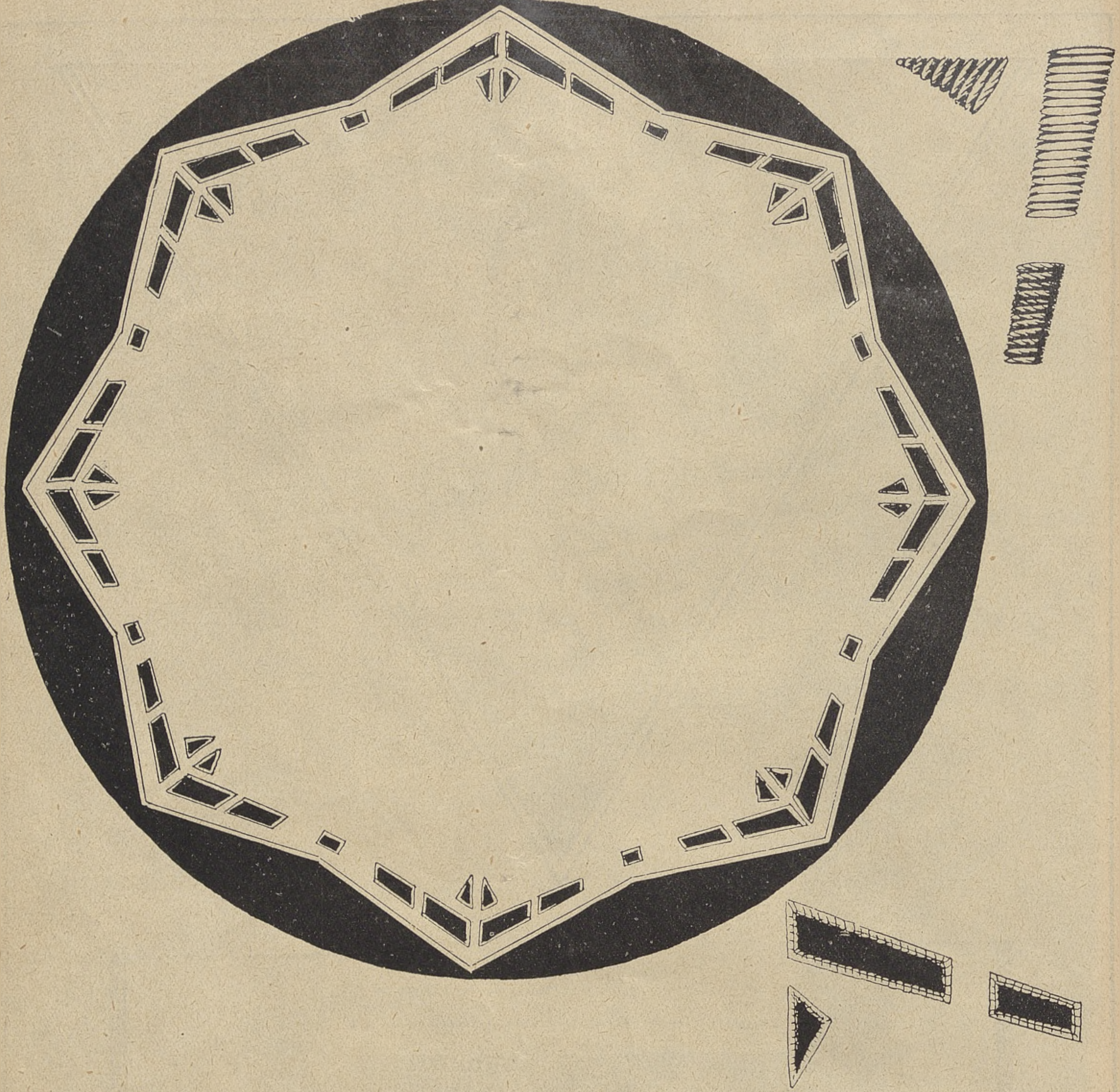
121 Sukienka z markizety; karczek wykończony pliską.

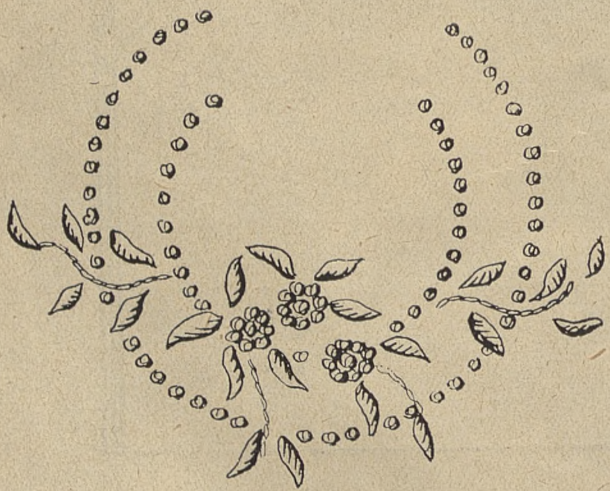
122 Sukienka z jedwabiu do prania w kratę.

123 Płaszczyk z białej piki, przybrany czerwonem.



Ryc. 40. — GARNITUR POŚCIELOWY: fartuch na kołdrę i poszewka, ozdobiony mereżkami, haftem angielskim i wodnym ściegiem. Fartuch zakończony półokrągłemi ząbkami obhaftowanemi atłaskiem. Projektował prof. Stefan Kacprowski

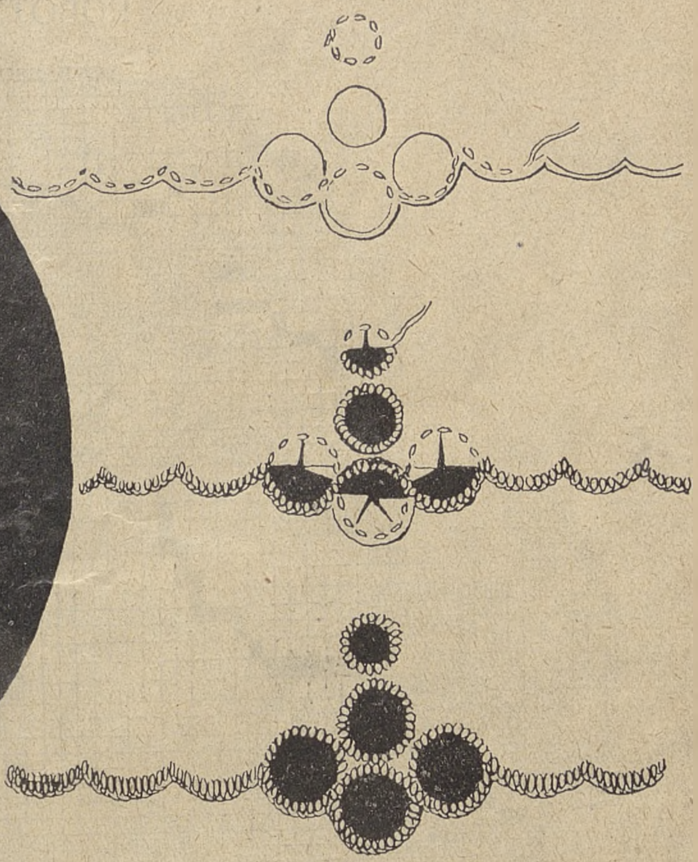




Ryc. 41. — MOTYW do zdobienia bielizny albo garderoby dziecięcej.

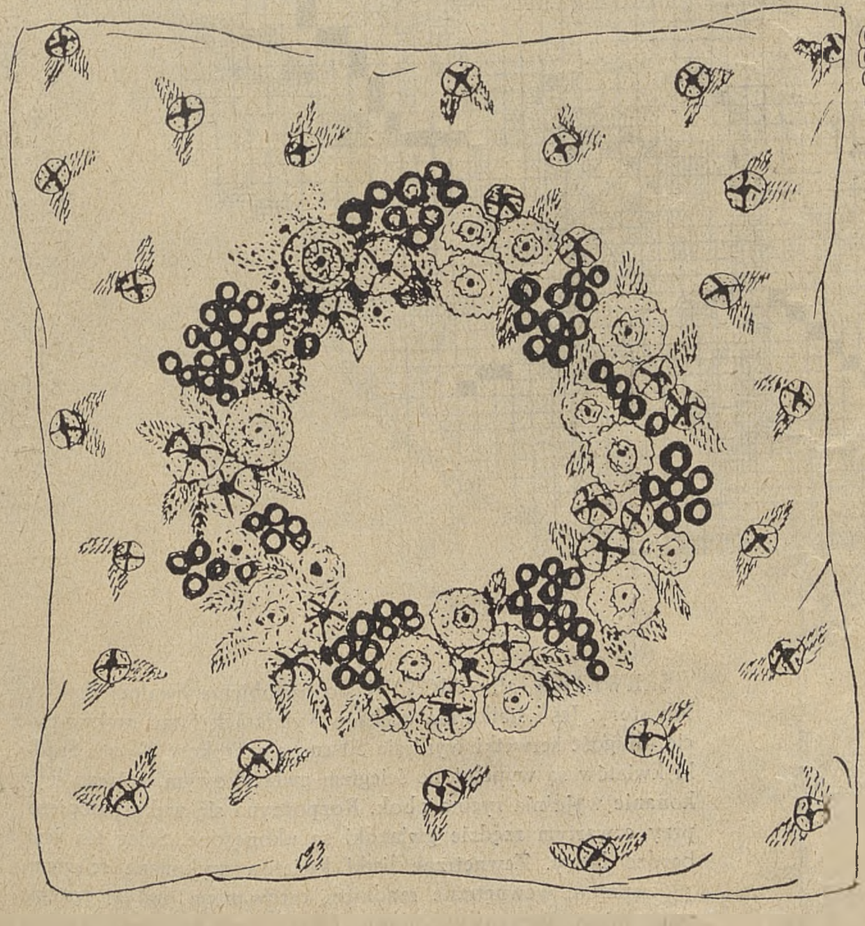
Ryc. 42 (u góry). — SERWETKA WYKONANA HAFTEM ANGIELSKIM, ALBO PŁASKIM. Wytworna w swojej prostocie serwetka ma 35 cm średnicy. Można ją wykonać haftem angielskim albo płaskim kolorowym.

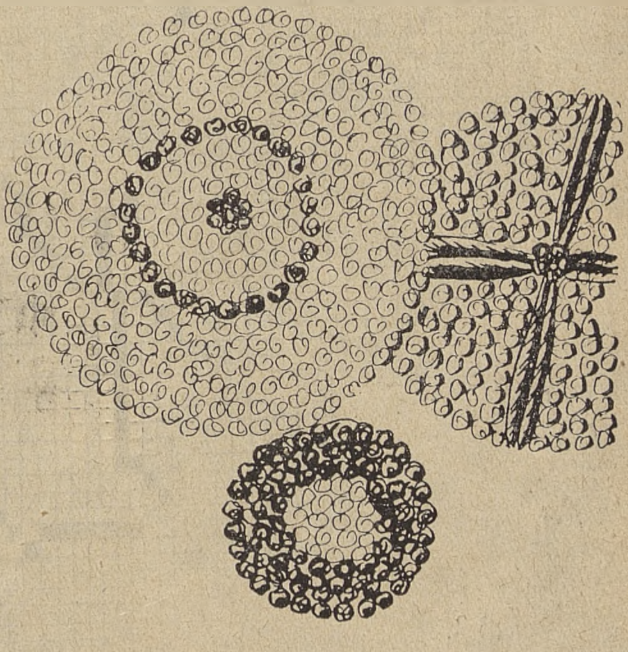




Ryc. 43

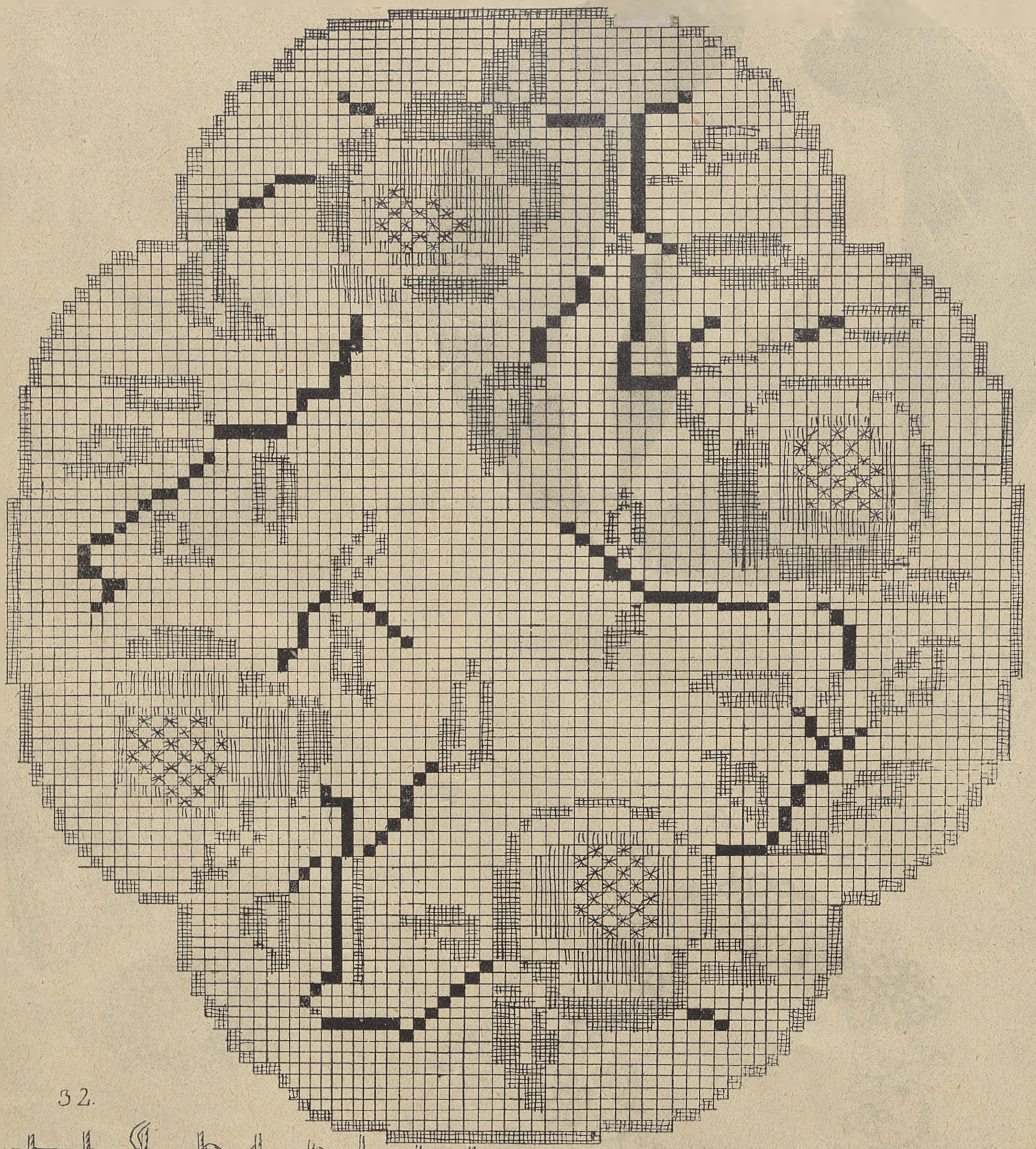
Ryc. 43. — BLUZKA OZDOBIONA HAFTEM ANGIELSKIM. Najmodniejsze są jedwabie i muśliny haftowane. Nasz model ozdobiony jest delikatnym brzegiem wykonanym dzierganiem, oraz haftem angielskim. Trzy próbki naturalnej wielkości pokazują trzy fazy roboty.



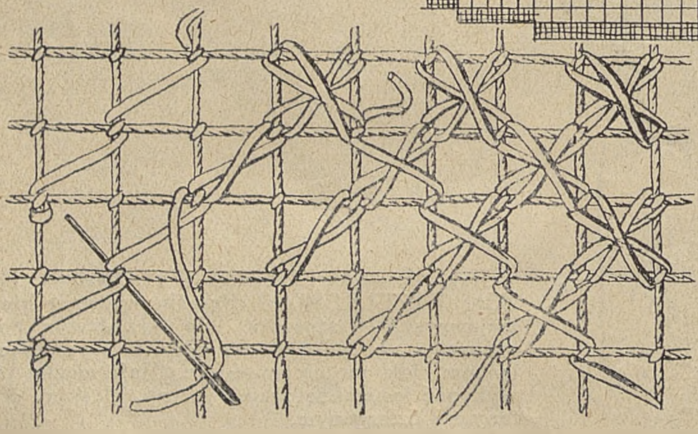


Ryc. 44

Ryc. 44. — PODUSZKA WYKONANA HAFTEM WĘZEŁKOWYM. Prześliczny wzór biedermajerowski — stosowny do urządzenia nowoczesnego — jednakowo pięknie występuje na jasnem, jak na ciemnem tle. Haft można także wykonać innemi ściegami, jak np. płaskim, chwytanym i dzierganym.



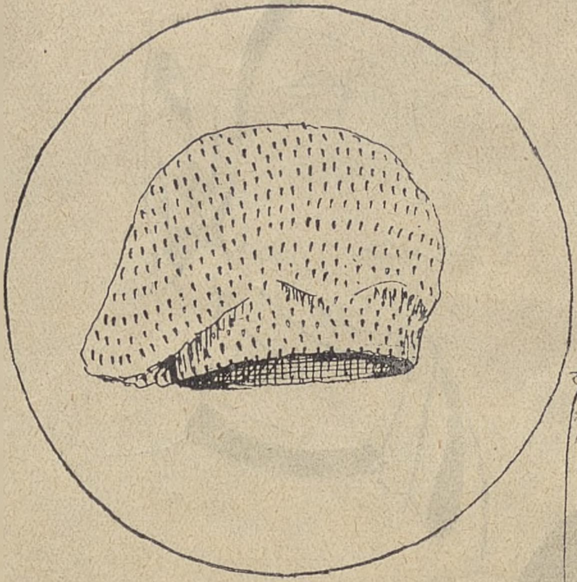
32.

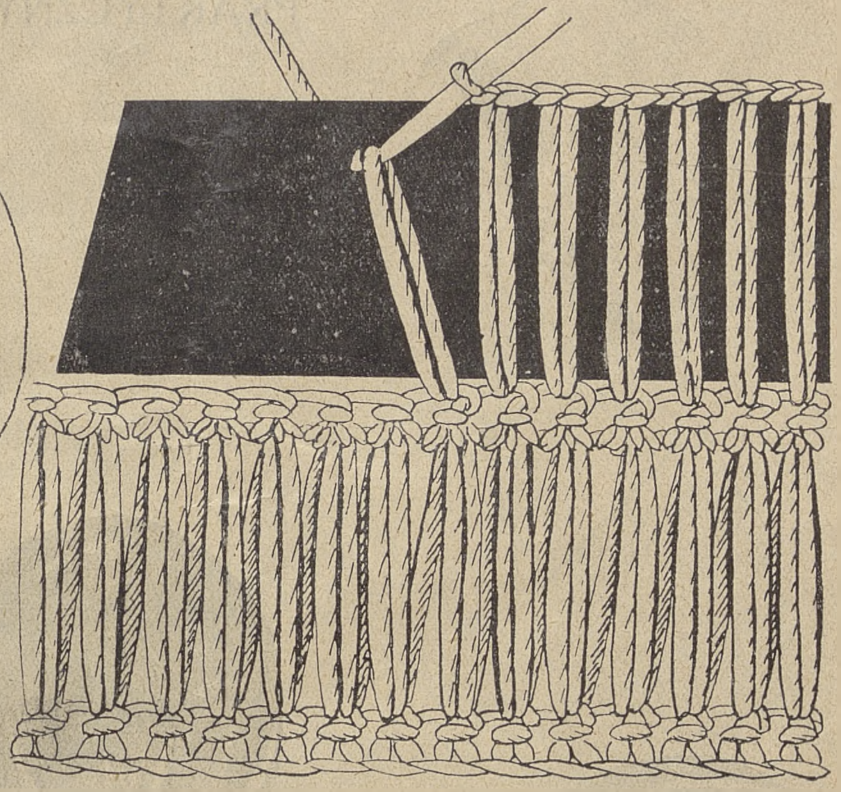


SERWETKA, albo MOTYW do ozdobienia owalnej serwety lub story. Jeśli siatka ma oczka o wymiarach 5 mm w kwadracie, długość serwetki wyniesie 50 cm, a szerokość 37 cm. Środki kwiatów są wypełnione ściegiem gwiazdkowym, którego wykonanie wyjaśnia rycina obok. Rozpoczyna się wukos; dopiero przy czwartym rzędzie gwiazdki są ukończone. Ścieg ten jest bardzo łatwy. Zewnętrzne listki kwiatów wykonane ściegiem płóciennym, wewnętrzne rzadkiem cerowaniem, łodygi gęstem cerowaniem. Brzeg wykończony ściegiem płóciennym.

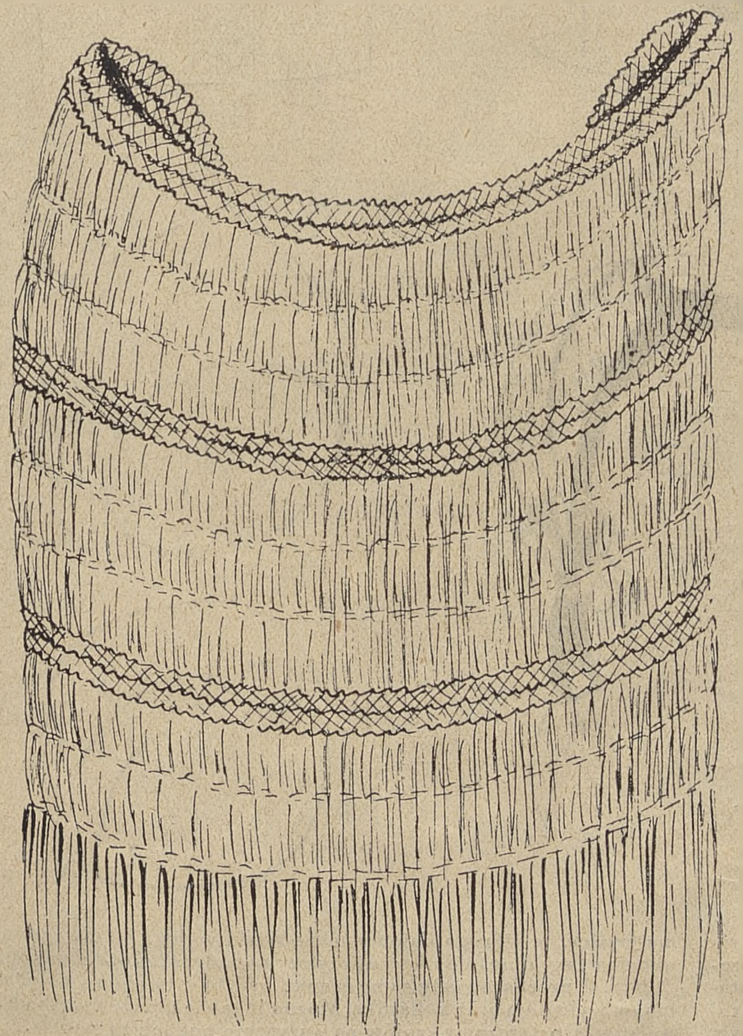
Z. KULCZYCKA

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO





90.



Uwzględniając życzenie jednej z Czytelniczek, podajemy znowu opis beretu. Dla urozmaicenia pokazujemy ścieg z kluczek robionych na pasku z tekturki. Można jednakowoż równie dobrze robić berety ścisłemi oczkami, oraz ściegiem barankowym, nawijanym, tunetańskim i wielu innemi, które były już wielokrotnie podawane w kursie.

Jednocześnie podajemy szal robiony na tekturce. Ścieg ten wykonywa się bardzo szybko, co jest jego wielką zaletą, a przy tem wygląda uroczo i puszysto. Zaczynamy łańcuszkiem z oczek w powietrzu, w które wrabiamy rząd ścisłych oczek. Rząd ten powinien mieć 150 cm długości. Następnie bierzemy do pomocy pasek tekturki, szer. 5 — 6 cm i szydełkujemy, wkłówając w ścisłe oczka i biorąc nitkę poza tekturką, jak to pokazuje rycina. Każdą kluczkę oddziela 1 oczko w powietrzu od następnej kluczki. Następnie robimy rząd ścisłych oczek, przyczem wkłówamy tylko w oczka nad kluczkami.

Po 2 rzędach z kluczek robimy rząd ażurowy w ten sposób, że po 3 oczkach w powietrzu robimy 1 ścisłe oczko w trzecie ścisłe oczko poprzedniego rzędu. W następnym rzędzie zaczepiamy o oczka w powietrzu, robiąc ścisłe oczka przedzielone 3 oczkami w powietrzu. Tak robimy 7 rzędów, zmieniając kolory dowolnie. Potem następują 3 rzędy z kluczek, później znowu 7 rzędów ażurowych i t. d. jak na rysunku.

N a b e r e t zaczynamy kółkiem z 6 oczek, w które wrabiamy 9 ścisłych oczek; w następnym rzędzie robimy kluczki przez tekturkę, szerokości 1 albo 1 ½ cm, dodając przy każdem drugiem oczku. Przy następnych rzędach dodaje się mniej, ale zawsze tyle, żeby czapka tworzyła płaski krążek aż od 16 do 20 cm średnicy. Następnie robi się 4—5 rzędów bez dodawania, poczem odejmuje się, aż czapka osiągnie odpowiednią objętość głowy. Nakoniec robimy 5—6 rzędów ścisłych oczek dla umocnienia brzegu. Można na ten cel użyć cienszego szydełka, żeby oczka były dość ciasne.

Z. KULCZYCKA

KĄCIK PRAKTYCZNY



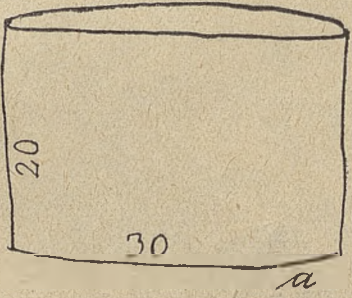
1.



3.



2a

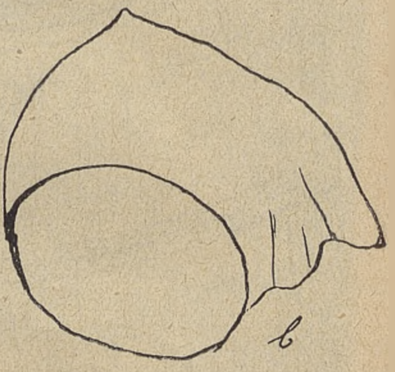




2.



4.



b



c

CZAPKI I BERETY

Zbliżająca się jesień zmusza do szycia ciepłych okryć i stosownych do nich, a tak praktycznych, czapeczek. Berety nadal cieszą się powodzeniem, a obok nich różne inne czapeczki, które łatwo uszyć ze skrawków materjału. — Jeżeli materjał jest wiotki, dajemy go na organtynę. Na beret (rys. 1) krajemy dno z 4 części. Po złączeniu tych części przyszywamy zewnętrzną część główki zeszytą poprzednio, przyczem staramy się, żeby szew był umieszczony na prawym boku. Następnie przyszywamy w ten sam sposób spodnią część beretu, poczem wykończamy brzeg wstążką, a wewnątrz podszewką. Mała kokardka przytrzymuje beret z prawego boku.

Prosty jest krój czapeczki 2; dajemy ją również na organtynę. Odwinięty brzeg, oraz spód, można podszyć innym materjałem. — Z równego kawałka materjału długości 60 cm, a szerokości 20 cm, można ułożyć najrozmaitsze czapeczki. Rys. 3 przedstawia ten pas materjału zeszyty zboku tylna 4 cm szerokości, reszta zostaje otwarta. Podszywamy brzeg otwarty na 4—5 cm szeroko innym materjałem, z którego dajemy także wąski wyłóg. Z prawego boku układamy zgrabne fałdy, które przytrzymujemy jakąś ozdobną spinką.

Rys. 4 przedstawia tę samą czapkę uszytą z tweedu i przybraną innym wyłogiem oraz kokardką. Można ją także ułożyć z wąskich kawałków. Dostarczamy krojów na wszystkie podane tu modele.

Z. KULCZYCKA

DUCH PRZY BRIDGE'U

(Dok. art. ze str. 365)

szczotce od paznokci pływał gumowy, nadymany pies. Przez chwilę odczuła ulgę.

— No i cóż, żaby moje? Już was wyszurowali? — spytała.

Nie mogła jednak zostać z dziećmi, musiała iść dalej. Nie zatrzymała się w pokoju Pitra, gdyż prześladowała ją myśl, że nie wolno jej płakać za Rudolfem w pokoju Pitra.

— Czy znajdzie się w całym domu jedno miejsce, gdzie będę sama? — myślała z rozpaczą.

Gdy była malutka, ilekroć chciała w samotności odzyskać równowagę ducha, uciekała do ustępu. I dziś poszła wreszcie do tej kryjówki swych dziecinnych lat. Tam drżącemi łopatkami wsparta o białe kafle muru, z oczyma wlepionemi w niklowy kran wodociągu, stara się pozbierać myśli. Przekonywa się najpierw, że nie może płakać. Niema łez, nawet niema bólu, tylko jakieś ogromne zmieszanie. Rudolfa nigdy więcej nie zobaczy, będzie o nim śnić, będzie za nim tęsknić strasznie, potem tęsknota zwolna będzie niknąć i zniknie; przynajmniej ma nadzieję, że tak się stanie. Nigdy więcej nie będzie czekać na jego listy, jego telefony, na spotkania w odległych miasteczkach. Czuje się biedna, opuszczona, bez nadziei żadnej. Straciła rzecz najcenniejszą w życiu.

Ale kto jest ten profesor Kemp, który utopił się w Nekarze? Obcy, zupełnie obcy człowiek. Znany w całych Niemczech, każdy wie o nim bez porównania więcej niż ona sama. Czy kochała Rudolfa? Ach tak! Czy Rudolf ją kochał? Na pewno.

Lecz cóż ta miłość była warta, jeśli nie zbliżyła ich zupełnie. Jeśli dziś ona w bólu swoim czuje się tak obcą, tak daleką i samotną.

— Czy znałaś tego profesora Kempa, Charlotto?

— Taaak, przelotnie.

W roztargnieniu myje ręce i oczy, choć nie płakała i wraca do stolików.

Na dole zjedli już sałatę owocową i zmienili miejsca. Marjanna przeszła do „wielkiego" stołu i zasiadła wreszcie koło Fernaua. Piter, wyczerpany grą z panią Fritsche, siada jako partner Charlotty. Rozdając karty, patrzy na jego poczciwą, zmęczoną twarz. Ten widok uspokaja ją trochę, wszystko pojmuje jaśniej i przestaje drżeć.

Trzy piki! Przeciwnicy licytują.

— Opowiem wszystko Pitrowi, — decyduje się nagle Charlotta. On mnie pocieszy, opowiem mu wszystko. Piter jest właściwie główną osobą, on jest wszystkiem. Piter jest moim mężem. Piter taki kochany, taki dobry...

W pół do ósmej. Wyciągają miejsca. Zmieniają się atuty. — Atuty są duszą gry.

— Czemu nie kontrowałaś, — mówi Piter marszcząc czoło.

— Nie można mu nic powiedzieć. Toby było szaleństwo. Co ja wiem o Pitrze? Co on wie o mnie? Możeby się rozgniewał i wypędził mnie z domu? Może on wcale nie jest dobry? Możeby się zastrzelił, gdyby wiedział? A może ten profesor Kemp rzeczywiście popełnił samobójstwo. Nikt nie wie — ja nie wiem, nawet Kati ma już swoje tajemnice.

— Dlaczego kier? W tej chwili wzięła Pani lewę atutem? — mówił pan Kiernow.

Charlotta spojrzała na karty. — Czyżby? — spytała trochę onieśmielona.

— Ależ, pani droga, pani nic nie uważa, — zawołała pani Kiernow, wstając z krzesła.

— Przepraszam, pomyliłam się, — rzekła Charlotta.

Piter rzucił karty na stół, gdyż był naprawdę zły.

— Wszystko ma swoje granice, — rzekł podniesionym głosem.

Zaczęto na nich patrzeć z drugiego stolika.

— Co się stało? Charlotta kontrowała?

— No tasujesz karty, moja droga...

— Co się stało, kochanie? — spytała miękko Marjanna, stając tuż za Charlottą. Czuła, że z przyjaciółką dzieje się coś złego, podczas gdy Piter irytuje się tylko z powodu jej nieuwagi. Piter dotąd niczego nie zauważył. Bogu dzięki.

— Jesteś na ręku, Charlotto... Charlotta gra.

Ktoś odszedł nieodwołalnie i na zawsze...

Gdy Rudi wiedział, że nikt na niego nie patrzy, lubiał jak uczniak zjeżdżać w dół po rampie od schodów; lecz tego oczywiście nie można zamieszczać w nekrologu. Strata dla Niemiec. Dziewiąta godzina. Kara atutami.

— Chyba nigdy w życiu nie grałaś tak źle, — rzekł Piter.

— Czasami ma się taki zły dzień, — odpowiada Charlotta. Bridge trwa dalej.

VICKI BAUM

Tłum. H. Mańkowska

CO TO JEST NORMALIZACJA?*

PRACE nad normalizacją zostały podjęte jeszcze na długi czas przed wojną światową przez uprzemysłowioną Amerykę. Wojna światowa wywołała zagadnienie normalizacji także i w Europie i spowodowała energiczne tempo pracy w tym kierunku w Austrji, Belgji, Czechosłowacji, Danji, Finlandji, Francji, Holandji, Niemczech, Norwegji, Polsce, Rosji, Rumunji, Szwajcarji, Szwecji, Węgrzech, Wielkiej Brytanji i Włoszech. W innych częściach świata poza Ameryką pracują nad normalizacją także Australja i w Azji Japonja.

Co to jest normalizacja? Jest to ustalenie pewnej ilości typów różnych wyrobów; tą drogą osiąga się usprawnienie i uporządkowanie wszelkiej produkcji przemysłowej tak, aby nie opierała się na typach przekazanych tradycją, często bezkrytycznie przyjętych, ani też nie dogadzała indywidualnym wymaganiom, lecz odpowiadała warunkom rzeczywistej potrzeby ogółu. Np. produkcja maszyn różnego rodzaju powinna być prowadzona tak, aby najbardziej rozpowszechnione części składowe maszyny, np. śruby, dawały się stosować we wszystkich typach maszyn, bez względu na to, z jakiej fabryki maszyna pochodzi.

Zdawaćby się mogło, że normalizacja dotyczy tylko produkcji przemysłowo-technicznej w ścisłem tego słowa znaczeniu, a dla gospodyń domu nie przedstawia nic interesującego. Przekonamy się jednak, że tak nie jest.

Produkcja przedmiotów użytkowych gospodarstwa domowego, czyli t. zw. galanterja kuchenna, jest dużą gałęzią wytwórstwa, podlega więc tym samym niedomaganiom, co produkcja wogóle; wszelkie zaś niedomagania produkcji odbijają się przedewszystkiem na konsumentach, którymi są w tym przypadku kobiety.

Przypomnijmy sobie tedy nasze rozmaite przykrości, jakie nas spotykają w związku z nieznormalizowaną produkcją galanterji kuchennej, abyśmy dobrze oceniły, jaką wartość może mieć dla nas wprowadzenie w tym kierunku jakiegoś ładu. Wiemy dobrze z własnego doświadczenia, że różne części składowe naszych domowych aparatów są dziwnie tłukliwe i psujące się! Do takich nieznośnych rzeczy należą: pokrywki porcelanowe imbryków; korki szklane karafek; profitki lichtarzy; pokrywki, obrączki gumowe i sprężynki od słoi do konserw, szkła do lamp, abażury szklane, filiżanki i spodeczki, szklanki teoretycznie dostosowane do metalowych obrączek i t. p. Gdy staranna pani domu sprawdzi inwentarz i stwierdzi szkodę, lepiej zaiste, aby część pozostałą stłuczonego przedmiotu odrzuciła zupełnie, jako bezużyteczną, niżby z racji oszczędności podjęła bohaterski zamiar dokupienia zniszczonych części. Bowiem odbyta wędrówka, której rezultatem będzie tylko zmęczenie, jako nagrodę da jej przeświadczenie, że prawie żadnej z brakujących części dokupić nie można; te zaś, które znajdą się przypadkiem, napewno nie będą pasować do posiadanego przedmiotu. Dowiemy się tedy, że korki szklane są do nabycia tylko razem z karafkami, filiżanki razem ze spodeczkami, a przykrywki tylko z imbrykami.

Jeżeli czasem los nam sprzyja i dokupimy np. szkło pasujące

*) Przedruk z czasopisma: „Organizacja Gospodarstwa Domowego," nr 5, r. 1931.

do naszej lampy naftowej, to dzieje się to tylko w tym wypadku, gdy sklep, do którego zajrzałyśmy, posiada na składzie przez szczęśliwe zrządzenie losu palniki i szkła tej właśnie produkcji, co palnik przez nas posiadany.

Podobne trudności czekają nas, jeżeli zapragniemy dobrać pokrywę do naczynia żelaznego lub glinowego (aluminjowego) dawniejszego typu; gdy pokusimy się o uzupełnienie maszynek użytkowanych w kuchni ich częściami składowemi. Przypomnijmy sobie także nasze kłopoty, jeżeli spróbujemy zastąpić zniszczony ruszt lub przepalone drzwiczki od pieca nowemi. Biada nam, jeżeli nie znamy dokładnie potrzebnych wymiarów; przekonamy się bowiem z przykrością, że możemy podobne wymagania zaspakajać tylko na zamówienie, co wypada znacznie drożej niż przy kupnie wyrobu masowej produkcji.

Pomyślmy o naszych w Polsce dowolnych rozmiarach łóżek i tapczanów, o wielkiej rozmaitości w wymiarach materaców, poduszek i kołder, a co za tem idzie prześcieradeł, poszewek i podpinek. Przypomnijmy sobie, jak często musimy znaczyć specjalnie podpinki, pasujące tylko do tych a nie innych kołder, poszewki do tych a nie innych poduszek, których różnorodność w naszym domu wywołują różne okoliczności życiowe.

Zastanówmy się nad naszą fantazyjną produkcją okien i szyb; nie myślę nawet w tej chwili o bezsensownie urządzonych górnych kondygnacjach okien, których nigdy umyć należycie niepodobna, lecz o ich wymiarach. Jeżeli mamy w domu firanki i gzymsy (karnisze), które oddają nam usługi w jednem mieszkaniu, napewno nie skorzystamy z nich w tej samej postaci po przeprowadzce. Jakże zazdrościć możemy Szwedkom ich znormalizowanych okien, których zasadniczy prostokąt wymiarowy stanowi podstawę każdego okna, a dowolna wielkość okien jest tylko wielokrotnością tego samego podstawowego prostokątu. Do tego dostosowano znormalizowane składane poduszki międzyoknowe i drążki metalowe o prętach wsuwanych jeden w drugi, dogodnych w zastosowaniu do każdej szerokości.

Jeżeli wspomnimy jeszcze najrozmaitsze typy butelek, któremi się posługujemy, a które po zużyciu zawartości przedstawiają „materjał rupieciarski", będziemy mieć w ogólnych zarysach obraz naszych niedomagań normalizacyjnych w dziedzinie gospodarstwa domowego.

Jakie korzyści przynosi normalizacja? Normalizacja oparta na najogólniejszych potrzebach życiowych zdąża do stworzenia zasadniczego typu, jednego lub kilku zamiast różnorodności i dowolności. Dzięki temu wprowadza ona dla publiczności łatwiejszą orjentację w materjale i pozwala na szybkość decyzji w wyborze.

W Niemczech znormalizowano dłutka używane do wykręcania śrubek przy maszynie do szycia. Uczyniono to w ten sposób, że zamiast najrozmaitszych 38 typów, wprowadzono 3, oddające te same usługi. Jeżeli mamy wybrać dłutko z pomiędzy trzech przedstawionych typów, uczynimy to szybciej, aniżeli przewracając owe 38, wśród których i tak nie dostrzegamy wybitnych różnic. Normalizacja tedy ułatwia nam orjentację, wprowadzając uproszczenie typu.

Jeżeli wytwórca produkuje trzy typy dłutek zamiast 38, koszt produkcji znacznie się obniża; dzięki temu sprzedawca otrzymuje towar tani. Sprzedawca znowu, który ma u siebie w sklepie owe trzy typy dłutek zamiast 38, zyskuje w sklepie miejsce na inne towary, a obsługiwanie klienta zabiera mu mniej czasu. Zatem normalizacja wywołuje potanienie produkcji i obniżenie kosztów sprzedaży.

Używane przez nas do konserw słoje szklane z pokrywkami uległy w Niemczech również normalizacji. Zamiast stu różnej wielkości pokrywek wprowadzono tylko cztery, dzieląc je na dwie grupy: o brzegach płaskich i wysokich. Pokrywki te jako też obrączki gumowe dostosowano w ten sposób, że można ich używać do słoików wszelkiej wysokości, bez względu na fabrykę, z której pochodzą, przyczem z łatwością można nabywać wszelkie poszczególne części.

Przeprowadzona w tym wypadku normalizacja — poza poprzednio wykazanemi korzyściami, a więc uproszczeniem i potanieniem — dała jeszcze możliwość zastępowania się wzajemnego poszczególnych części, ponadto możliwość uzupełniania części składowych w razie potrzeby. Zbyteczne chyba nadmieniać, że owa możliwość uzupełniania powoduje znaczną oszczędność w wydatkach.

Ponieważ normalizacja opiera się na użyteczności codziennego życia, daje nam typy przedmiotów praktyczne. — Praktyczność przedmiotu bowiem polega na tem, że zadowala on najlepiej wymagania, jakie mu stawiamy.

Jeżeli rozpatrujemy materjał przygotowawczy do normalizacji naczynia, np. garnka, musimy sobie zdać sprawę z użytku, do którego to naczynie przeznaczamy.

Zależnie od tego, zastanawiamy się nad sprawą pojemności, związanej ze zwyczajową ilością spożycia, co nie we wszystkich krajach jest jednakowe. Norma, czyli typ, musi być obmyślana tak, aby ją można było bez trudności produkować w skali zwiększonej; staramy się tedy ustalić stosunek średnicy dna do wysokości naczynia; inaczej ustalamy ten stosunek w wypadkach garnka wysokiego, inaczej rondla płaskiego. Stosunek średnicy do wysokości naczynia zależy znowu od przewodzenia cieplnego jaki wykazuje materjał, z którego wykonywamy naczynie. Pragniemy ustalić normę naczynia sprawnie działającego, t. zn. takiego, które przy zużyciu najmniejszej ilości paliwa ogrzewałoby się jak najszybciej i zatrzymywało ciepło jak najdłużej. Gatunek uszu przy garnku, łatwo lub trudno się ogrzewających, sposób oraz miejsce ich przytwierdzenia, nie są to rzeczy przypadku, lecz wynik zależności wzajemnej.

Prace normalizacyjne wymagają, jak widzimy, odpowiedniego dla siebie warsztatu; wytwórcy zagraniczni, rozumiejący dobrze korzyści normalizacji, subwencjonują prace normalizacyjne bardzo wydatnie i państwo w tem zwykle udziału nie bierze. Jedynie Japonja, Polska i Sowiety posiadają komitety normalizacyjne, założone przez państwo.

Prace normalizacyjne w Polskim Komitecie Normalizacyjnym przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu prowadzone są od r. 1924. Prace niedawno założonej podkomisji gospodarstwa domowego zostały przeniesione w lutym b. r. do Instytutu Gospodarstwa Domowego. Pierwsze zebranie wspomnianej podkomisji przy współudziale przedstawiciela Ministerstwa Przemysłu i Handlu odbyło się w maju b. r. Omówiono na niem przygotowany materjał do normalizacji garnka glinowego wysokiego i do normalizacji łyżek potrzebnych przy gotowaniu, jako miary do produktów spożywczych.

Kobiety jako odbiorczynie przedmiotów gospodarstwa domowego mogą wpłynąć bardzo wydatnie na przyśpieszenie prac normalizacyjnych przez żądanie w sklepach wyrobów znormalizowanych.

Ponieważ prace nad normalizacją są u nas dopiero w zaczątku, nie możemy oczywiście spodziewać się, aby nasze żądania w tym kierunku zadowalano odrazu. Niemniej wywołują one właściwy skutek; kupując bowiem tylko przedmioty choćby częściowo znormalizowane i zabezpieczając się przy kupnie co do możliwości nabycia części składowych, zwracamy uwagę sprzedawcy, a pośrednio i wytwórcy, na możliwość zaopatrzenia się w wyroby odpowiednie do wymagań normalizacji.

We własnym interesie konsumentek należy domagać się w sklepach przedmiotów, cechowanych przez Instytut Gospodarstwa Domowego, cecha ta bowiem stwierdza zbadanie istotnej użyteczności tego przedmiotu dla domu i zastępuje do pewnego stopnia jeszcze nieistniejące u nas normy.

JANINA HUBEROWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

ZUPA Z ZIELONEJ FASOLI. Oczyścić, pokrajać na drobne kawałki i ugotować w wodzie ze solą. Gdy dostatecznie miękka, przetrzeć przez sito. Przyrządzić zaprażkę na maśle z posiekaną cebulą i zieloną pietruszką, rozprowadzić wodą, w której gotowała się fasolka i wymieszać z przetartą miazgą. Dodać octu oraz szczyptę papryki do smaku i włożyć nieprzetartą fasolkę. Podać z grzankami.



1175

POTRAWA Z ZIELONEJ FASOLKI I BARANINY. Pokrajać w kawałki wielkości orzecha włoskiego ½ kg baraniny i zrumienić na maśle z pokrajaną cebulą, której nie należy skąpić. Podlać wodą i dusić powoli przez godzinę. Następnie dodać ½ kg oczyszczonych i pokrajanych zielonych strączków fasoli, posolić i dusić dalszą godzinę, aż fasola zmięknie. Wówczas dodać 4 pomidory pokrajane w plasterki i razem dusić przez 15 minut. Nakoniec popudrować mąką, a gdy się utworzy gęsty sos, podać z młodemi kartoflami. Zamiast baraniny można użyć młodej wołowiny.

1210



SAŁATA Z ZIELONEJ FASOLKI, OGÓRKÓW I ZIEMNIAKÓW. Poszatkować 30 dkg ogórków i posolić, tak samo poszatkować 50 dkg zielonej fasolki i po posoleniu odstawić. Ziemniaków 50 dkg po ugotowaniu pokrajać w kostkę i wymieszać z posiekaną cebulą, solą i octem. Następnie wycisnąć ogórki i fasolkę, dodać octu do smaku i wymieszać z ziemniakami. Nakoniec przyprawić oliwą albo sosem majonezowym i podać z jajami ugotowanemi na twardo albo z zimnem mięsem.

SAŁATA Z FASOLKI I OGÓRKÓW. Ugotować zieloną albo szparagową fasolkę i wystudzić. Poszatkować ogórek i posolić. Wymieszać obie jarzyny i zaprawić octem oraz śmietaną, poczem powinny jeszcze stać przez godzinę.

FASOLKA SZPARAGOWA Z PARMEZANEM. Ugotować oczyszczoną fasolkę szparagową w wodzie albo rosole z solą. Gdy miękka, wyłożyć na ogrzany półmisek, posypać tartym parmezanem i polać masłem.

NALEŚNIKI Z JARZYNĄ. Upiec naleśniki, licząc po dwa albo trzy na osobę. Przyrządzić różne jarzyny, dusząc je na maśle, każdą osobno. Może to być marchewka, fasolka, grzybki, kalarepka i młoda kapusta. Formę budyniową wysmarować suto masłem, nałożyć warstwami naleśniki i jarzyny i zalać śmietaną, w której rozkłócono 1 jajko. Upiec w rurze.

Bezradność w doborze odpowiedniego preparatu przeciw piegom jest wobec znacznej ilości tego rodzaju środków zupełnie zrozumiałą. Z wielu stron odzywające się głosy uznania i pochwały dla działających szybko i bez szkodliwych następstw maści i mydła Leschnitzera zasługują na specjalne podkreślenie. Skład chemiczny tych preparatów ma stanowić wg. stanu dzisiejszego wiedzy kosmetycznej szczyt możliwości, co też umożliwia niezrównane i widoczne korzystne rezultaty.

ZIELONĄ FASOLKĘ MOŻNA KONSERWOWAĆ różnemi sposobami, jak podaliśmy już dawniej na tem miejscu. Przypominamy więc konserwowanie bez sterylizowania, kładąc świeżo rwane i poszatkowane fasolki do ciemnych butelek, które należy szczelnie zakorkować i przechowywać w ciemnem i chłodnem miejscu.

Kiszenie na wzór kapusty daje konserwę doskonałą na sałaty.

OGÓRKI Z GORCZYCĄ. Dojrzałe ogórki obrać i wyjąć pestki. Posolić i ułożyć w misce, odstawić na dobę. Następnie włożyć do słoja albo kamiennego garnka, dodając ziarnka gorczycy i kopru, nakoniec zalać octem zagotowanym z wodą, biorąc ½ l wody na ¾ l octu. Zawiązać i postawić w ciemnem miejscu.

NADZIEWANE JAJA. Ugotować kilka jaj na twardo, po ostudzeniu przekroić na połówki i wyjąć żółtka. Przetrzeć je przez sito, dodać po 1 łyżce wina na 1 jaje, po łyżeczce musztardy, odrobinę tartej cebuli, soli, oraz oliwy i octu do smaku. Z tym sosem wymieszać kilka zagrzanych parówek, z których zdjęto skórkę i pokrajanych dość drobno. Odstawić na 2—3 godziny. Przed podaniem napełnić tą masą połówki jaj i podać z jakąś sałatą.



PIEROGI ZE SEREM. Przyrządzić ciasto jak zwykle na pierogi. Zrumienić 10 dkg tartej bułeczki w 6 dkg masła i pod koniec dodać 2 łyżki posiekanej zielonej pietruszki. Wymieszać wszystko z 40 dkg sera (twarogu) oraz 2 jajami i solą do smaku i nadziać tą masą pierożki. Po ugotowaniu w solonej wodzie podać polane masłem z bułeczką.

Lichsze gatunki GRZYBÓW można użyć na BUDYŃ. Na ten cel parzymy obrane ziemniaki i krajemy w plasterki. Do wysmarowanej formy budyniowej kładziemy naprzemian warstwę ziemniaków i warstwę grzybów pokrajanych i przez 5 minut duszonych na maśle z cebulą posiekaną i z koperkiem. Każdą warstwę polewamy śmietaną albo kwaśnem mlekiem rozkłóconem z odrobiną mąki i soli, do czego można dodać jajko. Szczelnie zamkniętą formę gotujemy przez 1 godzinę i podajemy budyń z sosem pomidorowym.

Doskonałe są także POMIDORY NADZIANE GRZYBKAMI. Duże, niezbyt miękkie pomidory wydrążamy, odkroiwszy poprzednio krążek w kształcie pokrywki. Jakiekolwiek grzybki drobno pokrajane dusimy przez kwadrans na maśle z pokrajaną cebulą, następnie dodajemy łyżkę posiekanej pietruszki i tyle mąki, żeby powstała dość gęsta masa. Nadziewamy nią pomidory, które ustawiamy ciasno w brytwannie z masłem i cebulą i dusimy pod przykryciem przez kwadrans.

Jesteśmy, coprawda, ludźmi kulturalnymi, żyjemy w okresie czasu, w którym higjenie przyznaje się bardzo duże znaczenie, lecz mimo to często spotykamy ludzi, którzy „przez nieuwagę" zakaszlą nam wprost w twarz. Po takiem zdarzeniu sami po kilku dniach zwykle zaczynamy także kaszlać lub nawet zapadamy na grypę. Możemy jednak uchronić się w sposób niezawodny od takiego zarażenia się, jeżeli będziemy od czasu do czasu zażywali pastylkę Panflaviny. Pastylki te są bardzo smaczne i odkażają znakomicie jamę ustną i gardło. Dzięki swym silnym własnościom odkażającym, pastylki Panflaviny nie dopuszczają do powstania chorób z zaziębienia, grypy, zapalenia migdałków lub gardła, zdarzających się również i w obecnej gorącej porze roku. Znani lekarze powszechnie zalecają wobec tego zażywanie pastylek Panflaviny, które nabyć można we wszystkich aptekach.

Pierwsze wrażenie, które kobieta wywiera, jest często rozstrzygającem. Dobre wrażenie wymaga dobrej pielęgnacji. „Czarnogłówka" wzbogaciła dziedzinę pielęgnacji włosów o nowoczesny, zdrowy preparat: proszek „Połysk dla włosów", który jest dopakowany do każdej torebki szamponu Czarnogłówka-Extra. Przy regularnem zastosowaniu nadaje on fryzurze lśniący połysk i przyjemną świeżość. „Połysk dla włosów" polecamy każdej Pani.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PANI LUDWIKA B. — Zwracamy Pani uwagę na ostatni numer czasopisma O. G. D. i podajemy jego treść: Zeszyt sierpień—wrzesień „Organizacji Gospodarstwa Domowego" poświęcony jest sprawie mieszkania i zawiera następujące artykuły: Janina Ginett-Wojnarowiczowa daje wskazówki, jak urządzić wygodny „home" w różnych warunkach mieszkaniowych. Marja Chmieleńska objaśnia sprawę urządzenia kuchni. Podane plany i rysunki — to gotowe wzory urządzeń i sprzętów kuchennych, które każda gospodyni może zrobić w zastosowaniu do swojej kuchni. — P. Jonscherowa omawia „Pokój dziecięcy". — Teresa Skorzewska w artykule „Znaczenie zdrowotne balkonów i werand" zwraca uwagę, że powinniśmy dążyć do tego, aby w mieście każde mieszkanie posiadało balkon lub werandę i podaje projekty praktyczne balkonów. — Inż. Wacław Kaczkowski w artykule „Racjonalne podstawy prania" omawia: własności materjałów przeznaczonych do prania (bawełna, len, jedwab sztuczny, wełna i jedwab szlachetny) i mechaniczne czynności prania. — Kronika i Bibljografja. — Na ostatnich stronach zeszytu umieszczony jest spis szkół gospodarczych: 1) wymagających przygotowania z 6 lub 8 klas szkoły średniej; 2) wymagających 7 oddziałów szkoły powszechnej lub 3 klas szkoły średniej; 3) wymag. 5 oddz. szkoły powsz. i wreszcie 4) kursów gospodarczych. Podano cel nauki w poszczególnych kategorjach szkół i czas jej trwania. Ogółem spis zawiera 71 szkół i kursów gospodarstwa domowego.

GOSPODARNA. — Z wyrobów krajowych możemy Pani polecić dobry środek „Koloryt". Jest to 1) barwik do farbowania skór w 56 modnych kolorach; 2) do farbowania tkanin na zimno w kartonikach, w 40 kolorach; 3) do farbowania na gorąco w torebkach, w 40 kolorach; 4) do farbowania firanek w 3 kolorach. Pozatem: ultramaryna do bielizny w kopertach, woreczkach płóciennych i w blaszankach, atramenty w proszku w 5 kolorach. — Są to wyroby firmy „Koloryt", Warszawa, Chłodna 36.

PANI ZOFJA. — W nrze 15 „Świata Kobiecego" był już artykulik o głównych wytycznych mody jesienno-zimowej. Może on rozjaśnić wątpliwości, które Pani porusza w liście. Więcej szczegółów znajdzie Pani w nrze 17 w artykule: „Ploteczki o modzie".

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

CUDNE TO ZAKOPANE!

Pogoda jak na zawołanie.

Jest w Zakopanem pełnia sezonu — jest wyjątkowa pogoda... Wszystko śmieje się do słońca, i szmaragdowa zieleń lasów, i zielona toń jezior górskich, i za srężogą skryte Tatry i łąki ukwiecone... Wszystko śmieje się i raduje. Bo też rzeczywiście tak pięknej i długotrwałej pogody dawno Zakopane o tej porze nie miało.

Wszyscy bawią się tu wesoło.

Wszyscy, co tu z miast przyjeżdżają, powiadają, że w Zakopanem jest wesoło. Bo pewnie, jakże tu wobec cudów przyrody i przy tej masie promieni słonecznych nie zapomnieć o tych wszystkich troskach, jakie pozostawiło się tam u „dołu". Mimo więc, że z powodu biedy ciążącej nad całym światem w kawiarniach i na dancingach nie leje się szampan, a nawet wino strumieniami, jest tu wesoło i hucznie. Inna rzecz, że pogoda wyciąga w dzień tłumy w okoliczne dolinki, czy do Jaszczurówki, czy Kuźnic i przez to czasem na „fajfach" nie ma przepełnienia — niemniej niech tylko przyjdzie dzień nieco zmienny, werandy w kawiarniach zapełniają się do ostatniego stolika, ba — stołka. Jednej tylko kategorji i najcudniejsza pogoda nie wyciągnie w góry czy lasy, a to brydżystów. Nie dlatego, że iść tam nie chcą, ale tylko dlatego, że złapać czwórkę to nie zawsze łatwo, a tam gdzie byłyby dwa, a nie jeden, cele, kto wie, czy doszłoby tak łatwo do porozumienia. Dzięki też temu stoliki zielone w kawiarniach stale bywają obsadzone i co zatem idzie obstawione... kibicami.

Inaczej oddycha się w Zakopanem.

Miłośnicy przyrody i obcowania z nią mają tego roku raj na ziemi, tak jest tu cudnie i bosko. Dnie, szczególnie koło południa, bywają nawet upalne, ranki i wieczory, jak zwykle w Zakopanem i Tatrach, chłodne i rzeźkie. Zresztą nawet i upał tutejszy, to nie ten miejski, gdzie mury i kamienie zdają się przypominać rozpalone dusze do żelazka, czy kamionki do nóg z wrzącą wodą. Powietrze rzadkie i czyste, ile że pod względem skrapiania jezdni ulic zakopiańskich władze miejscowe doszły już do perfekcji, nawet i w najupalniejsze południa nie zwala się na płuca smorą duszności. A kiedy odskoczysz nieco chociażby do najpopularniejszej, bo najbliższej, doliny Białego, owionie cię chłód, ogarnie cię zieleń woniami żywicznemi tchnąca i odprawujesz kąpiel niczem w falach sinych Bałtyku.

Zycie kulturalne i artystyczne.

Życie kulturalno-artystyczne w tym sezonie pulsuje wcale żywo. Do najpopularniejszych rozrywek należy uczęszczanie na koncerty muzyki wojskowej (20-go p. p. z Krakowa) w parku miejskim. Orkiestra pierwszorzędna — niedarmo nosi tytuł mistrzowskiej orkiestry wojskowej. Od tygodnia zapobiegliwy dzierżawca kiosku kawiarnianego w parku zaprowadził nowość — dancingi na świeżem powietrzu, które cieszą się dużem powodzeniem. Mieliśmy tu już szereg występów artystycznych, do których przedewszystkiem zaliczyć należy niezwykle oryginalny i na wysokim poziomie stojący koncert Chenkina, oraz gościnę (niestety jednodniową) teatru „Ateneum" ze Stefanem Jaraczem na czele. Dużem powodzeniem artystycznym cieszył się również koncert chóru „Eryana". W najbliższym czasie, tj. w pierwszej połowie sierpnia, oczekuje się występów Krukowskiego, Zuli Pogorzelskiej i Egona Petriego. Największą jednak atrakcją pod tym względem będą bezsprzecznie występy „opery górskiej" na wolnej przestrzeni, na tle wspaniałej scenerji Tatr. Terminy oznaczono na dnie 12, 13, 14 i 15 sierpnia, a więc przed samym samochodowym „Wyścigiem Tatrzańskim", który ma się odbyć w dniu 16 sierpnia. W roku bieżącym wystawione będą „Halka" Moniuszki i „Pomsta Jontka" Walewskiego. Udział w przedstawieniach wezmą najwybitniejsi polscy artyści operowi, jak np., p. Lipowska, Zathay, znakomita orkiestra 20-go p. p. pod batutą swego kapelmistrza a inicjatora „opery górskiej" majora Schreyera, oraz chór Towarzystwa Operowego z Krakowa.

Wyścig Tatrzański i Turniej Tennisowy.

O „Wyścigu Tatrzańskim" pisać wiele nie potrzebuję, gdyż ma on już ustaloną markę. W roku bieżącym ma on, jak nas zapewniają organizatorzy, stać na jeszcze wyższem poziomie sportowym niż w roku przeszłym. Poza samochodowym wyścigiem czeka nas jeszcze w tym roku inna impreza sportowa, a to międzynarodowy turniej tennisowy z udziałem naszych mistrzów.

Najazd cudzoziemców na Zakopane.

Jak już na samym początku mego listu zaznaczyłem, w Zakopanem jest wesoło i nie widać tu tego przygnębienia, jakie opanowało pod wpływem ciężkich warunków gospodarczych miasta i wogóle większe zbiorowiska ludzkie. Co jednak cieszy najwięcej ojców uzdrowiska i wogóle wszystkich przyjaciół tego podskalnego gniazda, to niezwykle silny ruch gości zagranicznych — cudzoziemców. Na ulicach słyszy się najróżnorodniejsze języki, począwszy od sąsiedzkich: czeskiego, węgierskiego i niemieckiego, które siłą faktu najczęściej się słyszy, a skończywszy na egzotycznych dla nas — japońskim i hinduskim. Najliczniej poza Niemcami, Czechami i Węgrami odwiedzają Zakopane Francuzi, Anglicy, Belgijczycy, Duńczycy. U tych ostatnich Zakopane cieszy się już taką popularnością, jak St. Moritz czy Biaritz.

„Bristol" na czele ruchu turystycznego zagranicy.

Znacznie ożywiony w ostatnim czasie ruch gości i turystów zagranicznych w Zakopanem przypisać należy intensywnej propagandzie, jaką prowadzi od dłuższego czasu zarząd Hotelu „Bristol" na własną rękę lub też wspólnie z zarządem uzdrowiska. „Bristol", jako hotel o wysokim poziomie, pozyskał najlepsze uznanie w agencjach turystycznych zagranicą, to też przeważna część cudzoziemców w nim się lokuje. Gdy któregoś dnia byłem tam na obiedzie, naliczyłem na 70 obecnych osób na sali 30 cudzoziemców. Z wybitniejszych gości zagranicznych bawią w Zakopanem w tej chwili pani Karolina van Dommelen, wybitna holenderska aktorka i dziennikarka, która bawi tu dla turystyki i krajoznawstwa; dalej głośna niemiecka powieściopisarka Irma Kern, która od trzech lat utrzymuje stały kontakt z naszym światem literackim i często Polskę odwiedza, a obecnie zabawi w Zakopanem dwa miesiące; dalej dwóch włoskich dziennikarzy, kilku pianistów i pianistek (uczniów prof. Egona Petri) itd. Bawił tu przez tydzień głośny japoński artysta malarz Kirygaja dla studjów folklorystycznych i malarskich. W dniu 6 sierpnia zjeżdża do „Bristolu" na kilkutygodniowy pobyt wycieczka Instytutu Socjologicznego z Westminsteru (Anglja). W wycieczce tej bierze udział 28 najwybitniejszych osób Instytutu, które przeprowadzać będą specjalne studja w Polsce i poszczególne w Zakopanem.

Polski świat artystyczny i literacki zjeżdża tu starym zwyczajem.

Z wybitnych przedstawicieli polskiego świata literackiego i artystycznego zjechali do Zakopanego: T. Axtentowicz, Kamocki, Karol i Feliks Szymanowscy, Kornel Makuszyński, Bruno Winawer, prof. Chybiński, prof. Jachimecki i inni. A zatem świat ducha reprezentowany jest dość mocno i tradycja lat dawnych, która nadała Zakopanemu miano „letniej stolicy Polski" utrzymuje się nadal.

Raj dla Taterników i Wycieczkowców.

Cudowna pogoda tegoroczna sprzyja niezwykle ruchowi taternickiemu i wycieczkowemu. Autobusy do Morskiego Oka, Doliny Kościeliskiej, w Pieniny i na czeską stronę kursują stale zapełnione. Olbrzymi też jest ruch pieszy tak do okolicznych dolin, jak i w głąb Tatr. Co znaczy jednak dobra, pogodna zima, a potem pogodne i słoneczne lato... Przecież to już połowa sezonu, a chwała Bogu nie było dotychczas żadnej poważnej katastrofy w Tatrach i oby tak zostało do końca przynajmniej tego sezonu.

A przytem wszystkiem Zakopane jest niezwykle tanie, tańsze od sąsiednich konkurencyjnych miejscowości, Poronina, Bukowiny i innych, i pod tym względem wytrzymuje wszelką konkurencję.

KAROL KWAŚNIEWSKI

Każda gospodyni usmaży znakomite konfitury, soki, marmelady i jamy podług nieocenionej książki

Z. KULCZYCKIEJ

NAJWIĘKSZY ZBIÓR PRZEPISÓW

SMAŻENIA KONFITUR, SOKÓW, MARMELAD I INNYCH PRZETWORÓW OWOCOWYCH

Ta piękna ilustrowana książka obejmuje następującą treść:

Ogólne wskazówki. Konfitury. Jamy. Galarety. Marmelady. Powidła. Serki czyli pasty owocowe. Suche konfitury i kandyzy. Soki owocowe z cukrem. Soki i marmelady surowe oraz sorbety. Galaretki surowe. Sorbety pomadkowe. Miodki owocowe. Sterylizowanie kompotów, soków i marmelad. Kompoty. Soki sterylizowane. Kompoty bez cukru, owoce we własnym soku. Miazgi bez cukru. Konserwowanie miazg. Soki bez cukru surowe. Owoce w occie i cukrze. Owoce mieszane w occie z cukrem. Suszenie owoców. Przechowywanie — — — — — świeżych owoców — — — — —

Wymienione powyżej przepisy są do naszych potrzeb zastosowane, wypróbowane (zarówno wedle starych jak i najnowszych metod). Zwracamy uwagę na przepisy przyrządzania przetworów owocowych bez cukru

CENA W OPRAWIE ZŁOTYCH 6·—

KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO

LWÓW, AKADEMICKA 2 A — WARSZAWA, WILCZA 3



DZIECKO

PROMIENIEJE ZDROWIEM I ZADOWOLENIEM. TO STWARZA

PUDER *Hoferia*

CHŁODZĄC I GOJĄC,—JEST PRAWDZIWEM DOBRODZIEJSTWEM DLA DELIKATNEGO NASKÓRKA TWEGO ULUBIEŃCA

CENA ZŁ. 1·—

1217

Instytut kosmetyczny fryzjerstwa damskiego

A. PREVENDAR

LWÓW

UL. CZARNIECKIEGO 2

Zawiadamia P. T. Panie, że ceny zostały znacznie zniżone.

Farbowanie włosów kosztuje 25 złotych, elektryczna trwała ondulacja od zwoju 2 złote, brwi i rzęsy 5 złotych.

Obsługa pierwszorzędna 1240

1162

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY
SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09
Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1163

Ukazało się nowe wydanie

SŁYNNEJ UNIWERSALNEJ

KSIĄŻKI KUCHARSKIEJ

MARJI OCHOROWICZ-MONATOWEJ

Jest to 112 tysiąc tej niezrównanej książki

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE „ŚWIAT KOBIECY"!

Gütermann

jedwab do szycia



WDOWA PO MAJORZE W. P., zamieszkała we Lwowie, w okolicy Targów Wschodnich (ul. Ponińskiego), przyjmie na mieszkanie z całem utrzymaniem i opieką **jedną lub dwie panienki z dobrej rodziny.** Osobny pokój słoneczny z komfortem, kompletnie urządzony. **Zgłoszenia** przyjmuje z grzeczności Administracja „Świata Kobiecego" pod „H. S. 1253". 1253

Za darmo oddajemy każdej prenumeratorce „Świata Kobiecego" wydany staraniem Księgarni Polskiej we Lwowie katalog pod tytułem:

Gospodarstwo wiejskie

Katalog obejmuje wszystkie książki z tego działu znajdujące się w handlu księgarskim.